



# Zeszyty TŁUMACKIE



II kwartał 1996 r.

Nr 2

---

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

---

Widok w Tłumaczu. - Rynek.



# SPIS TREŚCI

Wielkanoc — <i>Maria Niwińska</i> .....	3
Stół wielkanocny w Żywaczowie — <i>Danuta Tabińska-Juhasz</i> .....	4
<b>I. Tłumacz w latach 1939-1945</b>	
Z pamiętnika Jakuba Andrzeja Jakubowicza (ciąg dalszy) .....	5
Wspomnienia okupacyjne — <i>Jan Lipiński</i> .....	8
<b>II. Kościół p.w. Św. Anny — Tłumaccy księża</b>	
Wspomnienia o tłumackim kościele — <i>Hanka Gabańska-Kruszyńska</i> .....	10
<b>III. W cieniu białych nocy i czarnych dni</b>	
Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mojego życia (ciąg dalszy) — — <i>Anna Panachida-Bocheńska</i> .....	13
<b>IV. Tłumacki Holocaust</b> — wyjątki z książki wydanej w Izraelu	
Sprawiedliwi — prawi nie Żydzi (The Righteous Gentiles) — — <i>Ahlomo Blond</i> .....	15
<b>V. Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym</b>	
Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy (ciąg dalszy) — <i>ks. Lesław Jezowski</i> .....	17
Akademickie Koło Tłumaczan — <i>Maria Molisak-Ossowska</i> .....	19
Szkic do historii I męskiej drużyny harcerskiej — <i>Michał Nikosiewicz</i> .....	20
Kronika miasta i powiatu Tłumackiego — <i>Michał Nikoszewicz</i> .....	20
<b>VI. Wiadomości z życia Tłumaczan</b> .....	25
<b>VII. Odeszli</b> .....	23

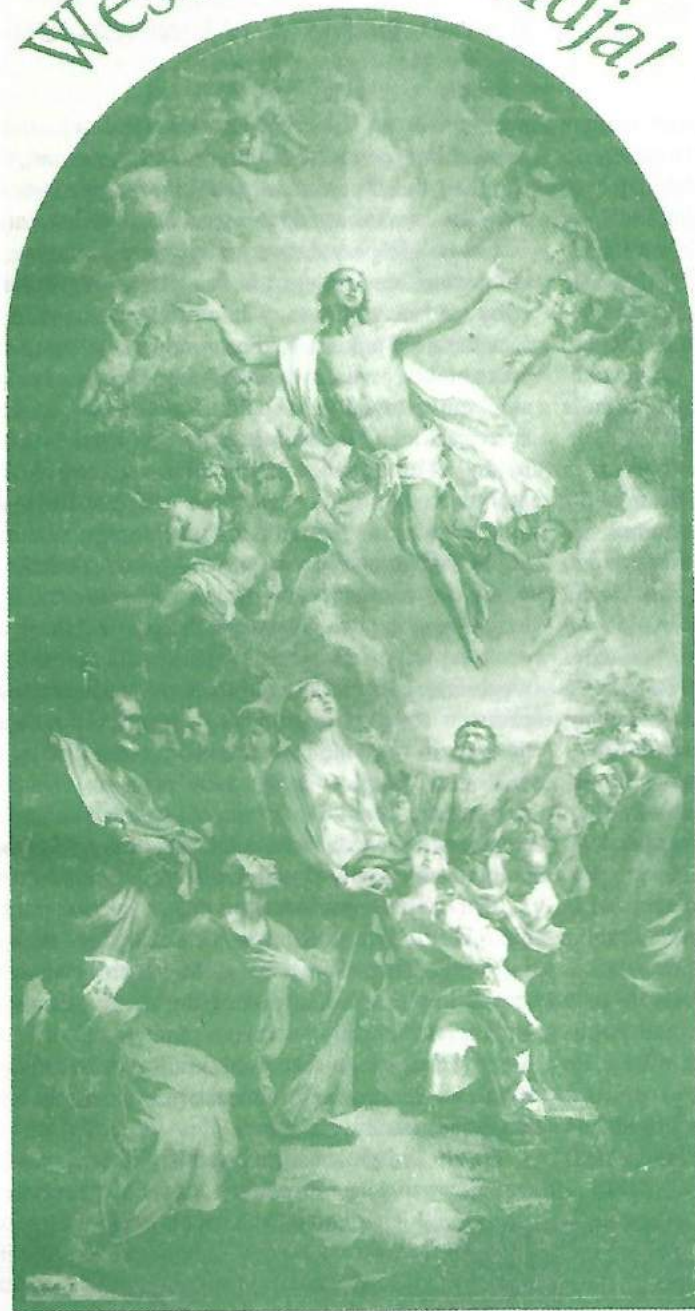
Okładka: Tłumacz — rynek

**Redaguje zespół w składzie:** Danuta Tabińska-Juhasz, Anna Panachida-Bocheńska,  
Krystyna Ossowska-Korta, Helena Bilińska,  
**Redakcja techniczna:** Małgorzata Wanke-Jakubowska  
Maria Wanke-Jerie

**Adres Redakcji:** Ogólnopolski Oddział Tłumaczan, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I p.  
tel. 44-88-93, Nr konta PKO III O/Wrocław Nr 93549-107099-132

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Wesołego Alleluja!



*Radosnych Świąt  
Zmartwychwstania,  
nadziei,  
zdrowia, optymizmu  
i błogosławieństwa  
Chrystusowego  
dla Drogich Tłumaczan,  
Czytelników  
i wszystkich Kresowian*

*życzy*

*Redakcja i Zarząd*

*Klubu*



Maria Niwińska

## *Wielkanoc*

*Pamiętasz z masła  
złotego baranka?*

*Baziek w flakonie  
gałęzie srebrzyste,*

*A obok baby,  
wspaniałe pieczyste,*

*Które stroiła  
przylaszczek  
równianka?*

*Cud Wielkanocy spełnił się znowu,  
przyniósł nadzieję, miłość, odnowę...  
Niech zmartwychwstały Jezus w majestacie  
Swoim  
błogosławi Wam szczęściem, radością, pokojem...*

*Najlepsze życzenia Wielkanocne*

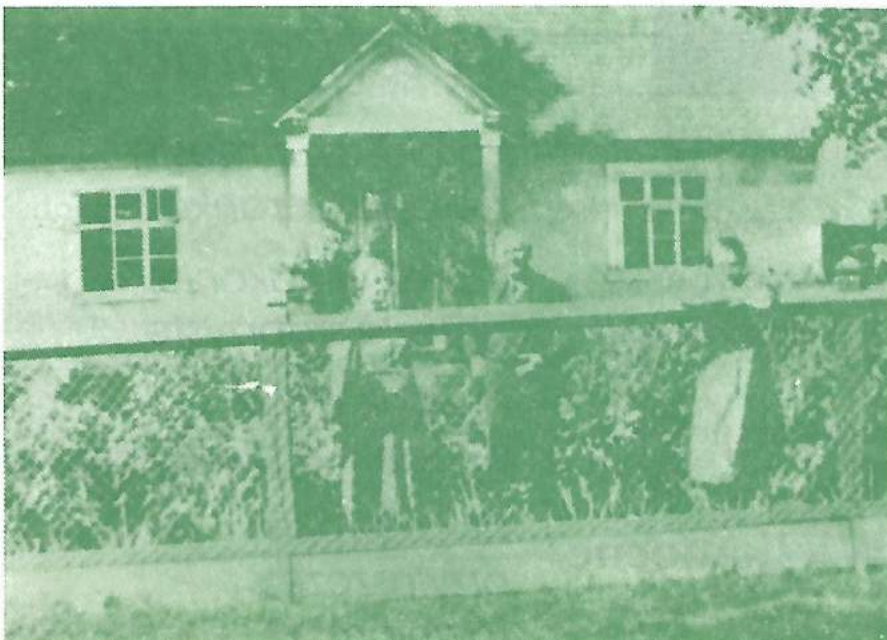
# Stół wielkanocny w Żywaczowie

DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ

Pamiętam, że przed wojną na każde święta jeździliśmy z Tłumacza do dziadków Tabińskich do Żywaczowa, wsi na trasie Horodenka oddalonej o 16 km od Tłumacza. W Żywaczowie u dziadków były prawdziwe staropolskie święta wielkanocne, z wszelkimi tradycjami kulinarnymi i obyczajowymi. Przez całe życie podążają za mną dziecięce wspomnienia wspaniałości wielkanocnego stołu. W dużym pokoju stał bardzo długi stół, który ugiął się wprost od tzw. „święconego”. Była to prawdziwa wystawa wykwintnego jądła oczekująca na poświęcenie. Wszystko co było tak pięknie prezentowane na stole, było wytworem własnych rąk t.j. własne wyroby, własne wypieki. Po rezurekcyi z małego żywaczowskiego kościółka przywożono księdza Wróbla, który dokonywał ceremonii uroczystego poświęcenia stołu. Uczestniczyła w tym cała liczna rodzina, goście i sąsiedzi. Zachwycano się wypiekami babci Gieni i innymi wyrobami świątecznymi. Nas dzieci fascynował baranek z masła, siedzący wśród gałązek barwinku, prosiaczek w całości upieczony na brązowo, który w pysku trzymał jajko. Mazurki wabiły kolorowymi barwami lukrów i dekatyzowanych owoców. Paszety i pieczone ptactwo wśród zwojów kiełbas własnego wyrobu i szynki prawdziwe, duże z wystającą kością. Pisanki były arcydziełami barw i huculskich wzorów. Były różnej wielkości (kacze i lilipucie). Nad tym wszystkim górowały baby wielkanocne, tak wysokie i smukłe, że nigdy już w życiu takich nie widziałam.

Tajemnicą był naturalnie odpowiednio wysoki piec chlebowy. Stół był przystrojony baziami znad pobliskiego Dniestru i bukietami wiosennych kwiatów, bo widocznie przedwojenny porządek dotyczył również pogody i na święta wielkanocne była tam już piękna wiosna, a na Boże Narodzenie zawsze siarczysta śnież-

Dom  
w Żywaczowie  
stoją dziadkowie  
Tabińscy  
i cicia Ania



na zima. Po poświęceniu stołu, wspólnej modlitwie prowadzonej przez ks. Wróbla oraz odśpiewaniu „Wesoły nam dziś dzień nastał” zaczynał się poczęstunek — kosztowanie tych wszystkich wspaniałości świątecznych.

Naturalnie prawdziwe, tradycyjnie święcone, już z dzieleniem się jajkiem i w ścisłym gronie rodzinnym odbywało się w pierwszy dzień świąt rano przed sumą. Dzielenie się jajkiem rozpoczynał dziadek, poprzedzając to piękną przemową do rodziny. Dziadek Jan Tabiński, emerytowany inspektor skarbowy z czasów austriackich „Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa” był bardzo szanowany i lubiany w całej okolicy za patriotyzm i prawdziwą postawę religijną. Był nazywany gromadzkim „Dziadkiem” do którego zwracali się okoliczni chłopcy o porady prawne, pisanie podań. On nie odmawiał zarówno swoim jak i Ukraińcom. Był też rozjemcą w sprawach i waśniach sąsiedzkich. W czasie ostatniej wojny znając język niemiecki biegle i trochę węgierskiego, zdołał wytłumaczyć wkraczającym w czerwcu 1941 r. Węgrom, że szowiniści ukraińscy poprowadzili w stronę Dniestru wszystkich Żydów z Tłumacza i okolic, żeby ich potopić. Oddziałem węgierskiej Armii wkraczającej przed Niemcami udało się powstrzymać tę bestialską akcję przygotowaną już do realizacji wzdłuż biegu Dniestru.

Tymczasem przy wielkanocnych życzeniach i obficie zastawionym stole, w gronie licznej bliskiej rodziny nie przypuszczaliśmy, że są to ostatnie tak radosne święta w wolnej Ojczyźnie. Nikt nie wyobrażał sobie nawet, jakie ciężkie przeżycia są przed nami, ile czeka nas strachu, głodu i że dojdzie do rozproszenia całej rodziny i do zupełnego unicestwienia naszego rodzinnego domu w Żywaczowie.

Dzieło zniszczenia rozpoczęli Niemcy, wycinając szpalery dorodnych, wysokich topoli włoskich, okalających całą posesję. Potrzebowali drzewa na okopy i ziemianki na linii frontu, który właśnie tam utrzymywał się przez trzy miesiące wiosną 1944 roku. Działania wojenne zniszczyły zabudowania gospodarcze. Do pustego zrabowanego domu, który cudem ocalał, wrócili z uciekinierki na Bukowinę drabiniastym wozem dziadkowie wraz z uniesionym dobytkiem. Spotkaliśmy się przypadkowo we wsi Stycowa pod Świątynem, nic o swoich losach uciekinierskich nie wiedząc. Z tej powrotnej wspólnej drogi zapamiętałam tylko strach i straszny odór z rozkładających się ciał, jakimi był wypełniony wawóz Dniestru w okolicy Niezwiszk. Dziadkowie rozpoczęli nowe bytowanie w ocalałym domu. Konie i krowa, która dzielnie szła za wozem na Bukowinę i spowrotem, zostały wprowadzone do dużego pokoju w którym przed laty świętowała cała rodzina. Babcia wabiła zdziczałe kozy i kury, które wypuściła przed ucie-

czką. Dzielna ciocia Ania, najmłodsza córka zaczęła sama uprawę zaminowanych pól. Mój ojciec i jego brat Michał byli w nieznanym świecie jako żołnierze rozbitej Armii Polskiej. Po krótkim pobycie w Żywaczowie, mama, siostra i ja okazyjną ciężarówką sowiecką dotarliśmy do Tłumacza. W kościele właśnie były odprawiane uroczystości odpustowe św. Anny. Tu spotykali się powracający z tułaczki mieszkańcy ściskając się i cieszyli się z powrotu do zniszczonego Tłumacza. W Żywaczowie stawało się coraz niebezpieczniej. Przestrogi zaprzyjanych Ukraińców oraz choroba dziadka spowodowały opuszczenie majątku i wyjazd do Kołomyi do najstarszej córki Marii Pajęczynskiej. Po śmierci dziadka w 1946 roku wszyscy wyjechali na zachód. Babcia zamieszkała ze swoją najmłodszą córką Anną Prószyńską we Wrocławiu na Oporowie. Martwiły ją wieści, że kołchoz w Żywaczowie zrobił w naszym dużym domu olejarnię. Mawiała „zniszcza nam tą olejarnią dom i nie będzie do czego wracać”. Była spokojna, małowówna, ale stanowcza, bardzo praktyczna i pracowita. Pamiętam jak pierwszym swoim autem „Trabantem” odwoziłam ją ze szpitala do domu na Oporowie. Wypytywała mnie po drodze, czy umiałabym dojechać do Żywaczowa, ile to może być kilometrów z Wrocławia i jak długo trwałaby taka podróż autem. Wiem, że gdyby to było możliwe w latach sześćdziesiątych, to moja wspaniała babcia Gienia nie zawahałaby się ani chwili, żeby prosto ze szpitala jechać do swojego ukochanego Żywaczowa.

W sędziwym już wieku całe zimy spędzała w łóżku, ale z nadejściem wiosny ożywała i szła pracować do ogródka koło domu na Oporowie. Gdy chciano jej to wyperswadować, mawiała: „to jest grzech — ziemia czeka na uprawę”. My wnukowie nazywaliśmy to „żywaczowski zew ziemi”. Z końcem sierpnia 1968 roku w czasie słynnej „zawieruchy czechosłowackiej” w drodze powrotnej znad Czarnego Morza Trabantem z dziećmi udało mi się umknąć rozstawionej na trasie milicji z wytyczonej drogi Czerniowce-Zaleszczyki-Tarnopol i przez Horodenkę dojechać do Żywaczowa. Domu już wtedy nie było, rozebrali go na cegłę do budowy pieców. Tych wiadomości już babcia nie dożyła.

Na zakończenie muszę się przyznać, że w wojennych



czasach wielkiego głodu, wspomnienia o wielkanocnym stole u dziadków i rozpamiętywanie, co na nim było, nie raz pozwoliło mi usnąć syto, chociaż z pustym żołądkiem. Na tym niezapomnianym czarnoziemiu „mlekiem i miodem płynącym” znova jest głodno. Dlaczego?

## Tłumacz w latach 1939-1944

### Ciąg dalszy z pamiętnika Jakuba Andrzeja Jakubowicza

Pamiętnik ten obejmuje bardzo szczegółowo opisane ciekawe przeżycia, aż do zakończenia wojny. Więzień ZSRR w 1941 roku wstąpił do Armii Polskiej w Tockoje koło Buzułuku. W 1942 r. z wojskiem gen. Andersa przechodzi do Persji — Palestyny — Egiptu. Przydzielony do 6. Dywizji Piechoty Lwowskiej. Potem we Włoszech pracuje jako kierowca w YMCA — Polska przy II Korpusie.

Do kraju wraca 1 X 1946 r. Przedruk pamiętnika Pana Jakubowicza kończymy w miejscu opuszczenia Lwowa przez transport więźniów.

## Zaczynają się więzienia

W celi zostałem owacyjnie przyjęty przez samych znajomych, a byli to: Wojciech Komornicki z Bukówny, policjant nazwiskiem Szofer z Chocimierza, urzędnik starostwa Rizler St. i gospodarz z Petryłowa, Słobodzian. Lokatorzy celi zaczęli mnie wypytwać co słychać w polityce i czy państwa zachodnie nie rozpoczęły interwencji? Komornicki poinformował mnie jakie są porządki w celi, jak się odbywają przesłuchania u tak zwanego „prokuratora”, i jak się do więźniów straż więzienna odnosi. Cella była mała, gdyż przeznaczona była dla dwóch więźniów, były w niej dwie wąskie prycze, mały stół i stołek na którym stało wiadro z wodą. Z ułożeniem się do snu był kłopot, gdyż trudno nam się było ułożyć w piątkę na dwóch pryczach, zwłaszcza, że Komornicki był wysokim mężczyzną, a Słobodzian tęgim. W Tłumaczu więźniów nie karmiono, posiłek dostarczały rodziny uwieczonych raz dziennie w południe. Były rajskie czasy, gdyż z domu posyłano nam smaczne i obfite posiłki, które w zupełności wystarczały na cały dzień. Dla mnie obiady nosiła córka Wandunia, a ponieważ szła zwykle przez park, który można było z górnego okienka naszego więzienia zobaczyć, włożyłem zwykle na stół, żeby córkę zobaczyć. Słobodzian pochodził z Petryłowa, wioski oddalonej od Tłumacza o 14 kilometrów i leżącej w dodatku po tamtej stronie Dniestru. Żona przynosiła mu prowiant raz w tygodniu, było to niedostateczne i niesmaczne. Obaj z Komornickim postanowiliśmy dzielić się obiadami ze Słobodzianem i przestrzegaliśmy tego aż do chwili, kiedy nas z nim rozłączono. W celi przeważnie rozmawialiśmy o przesłuchaniach, które w brutalny sposób prowadził młody oficer. Najbardziej cierpiał na tych przesłuchaniach Rizler, który był urzędnikiem starostwa od spraw politycznych. Kiedy go wzywano na przesłuchania bladł jak papier i trząsł się w nerwowych drgawkach. Po dwóch dniach pobytu w celi wezwano mnie na przesłuchanie. Wysoki przystojny plutonowy poprowadził mnie do pokoju, w którym urzędował porucznik, a sam stanął przy drzwiach. Porucznik kazał mi usiąść i rozpoczęło się przesłuchanie. Ponieważ byłem już uprzedzony jak to przesłuchanie będzie wyglądało, nie nastraszył mnie fakt wygrażania naganem, waleniem w stół i krzykami. Po zaprotokółowaniu mego stanu majątkowego, a to ile posiadam ziemi, ile krów i koni, zwrócił się porucznik do mnie z pytaniem, do jakiej partii należałem, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że do żadnej. Porucznik zerwał się z miejsca: „wriosz”. Nie wiedziałem co znaczy słowo „wriosz” i kiedy on tak stał wściekły nade mną, zapytałem, co znaczy „wriosz”? Odpowiedział siadając na krześle: „nie prawdę gawarisz”. Oświadczyłem, że mówię prawdę i zeznania nie zmienię. Porucznik jeszcze trochę wygrażał, ale wreszcie przesłuchanie zakończył i kazał mi protokół podpisać. Pod opieką plutonowego wróciłem do celi, gdzie musiałem dokładnie powtórzyć cały przebieg przesłuchania. Nastę-

pnego dnia zewezwano na przesłuchanie Słobodziana. Ciekawi byliśmy co mu właściwie zarzuca. Nie miał ani majątku, nie był żadnym przywódcą ani agitatorom i nie odgrywał żadnej roli w życiu politycznym. Po dwóch godzinach powrócił Słobodzian i z całym komizmem powtórzył przebieg przesłuchania. Najpierw dokładnie musiał podać swój stan majątkowy, stosunek do Rządu Polskiego i przynależność partyjną. Chodziło tu o nacjonalistyczne partie ukraińskie, gdyż Słobodzian był Ukraińcem. Prokurator zarzucał mu, że odgrywał rolę konfidenta. Na ten zarzut Słobodzian wstał z krzesła, obrócił się do przesłuchującego tyłem, podniósł marynarkę i pochyliwszy się pokazał szereg łat na spodniach. Potem zapytał: „czy tak wygląda ubranie człowieka, który otrzymuje pieniądze za doniesienia?”. Opowiedział to i pokazywał z takim humorem, że nie mogliśmy się od śmiechu powstrzymać. Codziennie rano wypuszczano więźniów celi za celą do ustępu znajdującego się na podwórzu, a potem więźniowie myli się i brali do wiaderka wodę na cały dzień. Naszą celę wypuszczano na końcu, gdyż utarł się taki zwyczaj, że ostatnia cela pozostawała dłużej na dworze, ale za to więźniowie musieli narąbać drzewa do kuchni dla NKWD.

Komornicki tłumaczył mi, że to wielki przywilej przebywać na powietrzu, czego ja zresztą nie negowałem, ale kiedy spostrzegłem, że za ogrodzeniem przypatruje się cała kupa obserwatorów, usiadłem na pieńku, aby nie dać z siebie drwić adeptom nowego ustroju. I pomimo tłumaczeń kolegów więziennych, nie pracowałem do końca pobytu mego w Tłumaczu. Po tygodniu wprowadzono do celi nowego lokatora, był nim Egner, urzędnik pocztowy. Po wejściu stanął przy drzwiach i pomimo życzliwego przyjęcia nie można było z niego słowa wydobyć. Zorientowałem się od razu w sytuacji i powiedziałem: „znaleźli u pana strzelbę”. Od razu ożywił się i zapytał: „a skąd pan wie”? Egner był znanym kłusownikiem i bez broni i nielegalnego polowania nie mógł żyć. Było to zresztą wszystkim wiadome i na skutek doniesienia usłużnych, został aresztowany. Byłem zamiłowanym myśliwym, znałem wiele nielegalnych sprawek Egnera. Usadowiłem go obok siebie i zaczęliśmy rozważać do jakiego stopnia może to przestępstwo zaważyć na jego losach. Przyznał mi się, że ma jeszcze ukryty karabin wojskowy, przez kilka dni zastanawialiśmy się czy karabin znajdą? Okazało się, że był dobrze schowany, a ponieważ Egner był Niemcem, więc go zwolniono i wypuszczono. Codziennie pakowano do więzienia nowych lokatorów, było już tak ciasno, że spodziewaliśmy się lada dzień wywózki. Już dwa razy przed nami wywieszono więźniów do więzienia w Stanisławowie i to samo nas niecodłownie czekało. Około 20 listopada podjechały ciężarowe samochody i ustawiły się na podwórzu. Nas wyprowadzono z celi, kazawszy zabrać rzeczy i wprowadzono do dużej sali gdzie już czekali więźniowie z innych cel. Czekali tam także konwojenci z karabinami i nasadzonymi bagnetami. Dowódca konwoju uprzedził nas, że próba ucieczki w drodze jest bezcelowa, gdyż żołnierze natychmiast użyją broni. Wyprowadzono nas na podwórze i zaraz zaczął się załadunek. Na samochód wprowadzono pięciu więźniów, posadzono ich tyłem do kierunku jazdy wzdłuż przedniej burty, kazano im nogi podkurczyć i rozstawić. Między nogi wsadzono następnych pięciu więźniów i znów powtórzyła się ta sama historia. Byliśmy tak upakowani, że mowy być nie mogło o jakiegokolwiek ucieczce. Ostatnia piątka znalazła się tuż przy tylnej burcie, na której usiedli konwojenci, a skromne nasze pakunki umieścili na nogach ostatniej piątki.

Kiedy samochody załadowano więźniami, otwarto bramy podwórza więziennego i konwój ruszył. Przejechaliśmy przez miasteczko Tłumacz pilnie bacząc czy nie zobaczymy kogoś

znajomego na ulicy, niestety znajomych na ulicy nie było. Samochody skierowały się przez Tyśmienicę do Stanisławowa i tu bocznymi ulicami zawieziono nas do gmachu więziennego. Była już późna pora kiedy zaczęto nas wyładowywać i rozmieszczać po celach.

## Więzienie w Stanisławowie

Komornickiego i mnie wprowadzono po schodach do suteryny, gdzie szliśmy długim korytarzem, przy którego końcu otworzono jakieś drzwi i wprowadzono nas do pojedynczej celi. Był tam tylko jeden tapczan do spania. Zastaliśmy tam młodego chłopca, był to uczeń Szkoły Kadeckiej we Lwowie. Złapano go podczas przekraczania granicy polsko—węgierskiej. Załedwie zapoznaliśmy się z lokatorem celi otworzyły się znów drzwi i wprowadzono nowych lokatorów. Pierwszy wtoczył się potężny Panachida, wójt spod Tłumacza, za nim weszło dwóch policjantów: Jureczek i Sikorski, a więc w celi na jednego więźnia było nas sześciu. W celi była tylko jedna prycza składana na dzień i przytwierdzona do ściany, jeden stołek, a przy drzwiach w kącie był umieszczony klozet z łańcuszkiem z urządzeniem do splukiwania. Takich urządzeń w późniejszych więzieniach już na ziemiach radzieckich nie spotykaliśmy. Po przywitaniu nowych więźniów zaczęliśmy się układać do snu, gdyż była to już późna noc. Cella miała załedwie 2 metry szerokości, tak że leżąc mieliśmy głowy przy jednej ścianie, a nogi blisko drugiej ściany. Następnego dnia rano urządzono pobudkę. Drzwi otworzyły się, do celi wszedł podoficer z dwoma żołnierzami, kazali nam się ustawić w szereg, nastąpiło sprawdzenie i obliczenie więźniów t.z.: „prowierka”, a żołnierze zostawili nam herbatę i chleb. Po spożyciu śniadania posiadaliśmy na ziemi i rozpoczęła się pogadanka. Najpierw kadet opowiedział nam jak z dwoma kolegami chciał się przedostać na Węgry, ale w Jaremczu zostali ujęci przez żołnierzy pogranicznych i odstawieni do Stanisławowa do więzienia. Tu po przesłuchaniu zostali rozdzieleni i on znalazł się w naszej celi. Nasz Iwaś kiedy się do nas przyzwyczaił okazał się wesołym chłopcem, opowiadał nam rozmaite gadki ludowe, a wśród nich o legendarnym Doboszu-zbójniku karpackim.

W czasie pobytu w Stanisławowie otrzymywaliśmy jeszcze paczki żywnościowe z domu, i do mnie doszła taka paczka, w której była także ciepła bielizna i skarpetki. Żywnością z paczek dzieliłiśmy się z towarzyszami więziennymi. Przyszła kolej opowiadania na policjanta Jureczka pochodzącego z poznańskiego. W czasie I wojny światowej był marynarzem na wojennym okręcie niemieckim. Otóż część floty niemieckiej po przegranej wojnie dostała się do niewoli angielskiej i doprowadzona została do bazy brytyjskiej marynarki wojennej w Scapa-Flur w Szkocji. Flota ta dowodzona była przez niemieckiego admirała Reutera a załoga do końca pobytu w niewoli zachowała dyscyplinę i posłuch dla swoich dowódców. Anglicy zaopatrywali całą flotę w żywność i opał, a z okrętów zabrano jedynie przyrządy nawigacyjne, mapy i broń, oprócz dział pokładowych, z których wyjęto zamki. Statki były stale pod parą i wprawdzie były zakotwiczone, trzeba je było utrzymywać dziobem prostopadłe do fali, a tak manewrować tylko utrzymując w kotłach parę. Anglicy zawsze mają czas i z wydaniem jakichś konkretnych rozkazów nie spieszą się. Na statkach załoga utrzymywała porządek, pokłady były codziennie zmywane, części metalowe błyszcząły, tylko dowódcy poszczególnych jednostek między sobą tajemniczo się porozumiewali. Taka sytuacja trwała trzy miesiące, aż któregoś dnia wszystkie statki o jednej porze zaczęły tonąć; na rozkaz oficerów otworzono wszystkie luki i cała flota poszła na dno. Anglicy uratowali całą załogę i przewieźli ją na ląd, ale ani jeden statek nie został uratowany. Tak wyglą-

dała beztroska flegma angielska i bezwzględna dyscyplina niemiecka. Siedzieliśmy już dwa tygodnie w tej celi, a nikogo z nas, ani na sąd, ani na dalsze przesłuchania nie wzywano. Głowiliśmy się co to będzie, bo codziennie samochody ciężarowe zwoziły duże transporty więźniów a nikt nie ubywał. Ciasnota panowała taka, że w pojedynczych celach mieściło się po ośmiu ludzi. Dziesiątego grudnia usłyszeliśmy jakieś niezwykle odgłosy, otwieranie cel, trzaskanie drzwiami i stukanie licznych kroków na korytarzu. Otworzyły się i nasze drzwi, a dozorca zawołał: „dawaj z wieszczami” co oznaczało wychodzić z rzeszami. Zostawiono w celi tylko naszego kadeta i Iwaśka, a nas wprowadzono do ogromnej sali w suterynach, gdzie już zgromadzonych było wielu więźniów, a jeszcze ciągle pakowano nowych. Spotkaliśmy tu dużo naszych znajomych i to ze wszystkich sfer społecznych. Zaczęliśmy się przegrupowywać w miarę możliwości, aby się znaleźć wśród swoich. Do wieczora pomieszczenie nasze tak się wypełniło, że nie można było usiąść oczywiście na podłodze, bo żadnych sprzętów w sali nie było. Musieliśmy siedzieć systematycznie, tak aby jeden opierał się o drugiego, aby w ten sposób umożliwić zajęcie miejsca wszystkim. Tak przebyliśmy całą noc. Następnego dnia, już od rana zaczęła działać komisja prowadząca spisy więźniów i sprawdzania ich obecności. Odbywało się to w ten sposób. Na korytarzu ustawiono długi stół, na którym leżały akta. Drzwi do naszego pomieszczenia otworzono, a w nich stanęło dwóch enkwardystów. Członek komisji wywoływał nazwiska więźniów, którzy zgłaszali swoją obecność. Sprawdzanie trwało cały dzień do późnej nocy, a posiłek nasz w tym dniu przepadł. Po ukończeniu sprawdzania zamknięto drzwi, a na podwórzu zaczęły wjeżdżać samochody ciężarowe. Z warkotu silników wnioskowaliśmy, że jest ich dużo. Po godzinie oczekiwania otworzono znowu drzwi naszego pomieszczenia i na korytarzu zobaczyliśmy dużą grupę żołnierzy uzbrojonych w karabiny z nałożonymi bagnetami. I znowu padła komenda: „dawaj z wieszczami”. Wyprowadzono nas na podwórze gdzie czekał na nas długi sznur samochodów ciężarowych. Niebo było wyiskrzzone gwiazdami, a na dworze panował silny mróz. Rozkazano nam usiąść na ziemi i rozpoczęto po kolei ładować na samochody. Starszych ludzi, którzy nie mogli się wdrapać na wysokie ciężarówki popędzano kolbami i podprowadzano wściekle szczekające psy na linkach. Te psy miały nam towarzyszyć aż do końca naszych wędrówek po więzieniach. Po załadowaniu więźniów, samochody ruszyły na dworzec w Stanisławowie. Tu czekał na nas cały pociąg składający się z wagonów bydłowych. Kazano nam wysiadać i usiąść znowu na śniegu. Zaczęto odliczać więźniów po czterdziestu i wpędzać do wagonów ze znanym nam już krzykiem: „dawaj po bystrej” i obfitym popychaniem kolbami. Wagony były w ten sposób przygotowane do przewozu ludzi, że w połowie wysokości krótkiej ścianki wagonu to jest z przodu i tyłu były wmontowane półki, na których można było leżeć. W środku wagonu stał żelazny piecyk z wystającą rurą ponad dach. Przy piecyku leżało trochę węgla do palenia. Przy podłużnej ścianie rodzaj ustępu. Nad ranem pociąg ruszył w nieznaną. Najpierw rozpalono ogień w piecyku, gdyż mróz był silny, a my odwykliśmy od przebywania na dworze. Najsilniejsi i najbystrzejsi zajęli miejsca na półkach, a starsi i słabsi musieli zająć miejsca na podłodze pod półkami. Przy oknie na górnej półce ułożyli się Koprowski, późniejszy kapuś i donosiciel, Formal kierowca ciężarówki z Warszawy i Kuczbar, który podał się za kapitana rezerwy, inżyniera i współwłaściciela fabryki motocykli.

Kuczbar najwięcej rezonował i udawał waźniaka. Ci trzej odbierali żywność dla całego wagonu i zajmowali się jej rozdziałem, cyganili przy tym niemilosiernie, aby zostawić najwięcej

dla siebie. Dawano nam w czasie trwania tej podróży chleb, odrobinę cukru i albo maleńki kawałek kiełbasy, albo kawałek śledzia co było dla nas najgorsze, gdyż o wodę było w czasie podróży trudno, więc cierpieliśmy ciągle pragnienie po tym nieszczęsnym śledziu. Pierwsza stacja, na której zatrzymaliśmy się był Halicz. Tu rozegrała się bardzo przykra scena. Na dworzec przybyło dużo ludzi, którzy dowiedzieli się od kolejarzy o przewozie aresztowanych i chcieli się dowiedzieć czy wśród nich nie ma kogoś z ich rodziny. Przeprowadzono także 8-letnią córeczkę policjanta, który jechał w naszym transporcie. Dziecko, które nie miało matki płakało i rozpaczało okropnie. Głośno płacząc wołało: „Tatusiu ja wiem, że ciebie wiozą na Sybir, a co ja sama zrobię? zabierz mnie ze sobą do więzienia”. Płacz był tak okropny, że niejeden z nas łzy ocierał. Na rozkaz jakiegoś dowódcy usunięto z peronu cywilnych ludzi, wraz z płaczącym dzieckiem. Po dłuższym postoju pociąg ruszył, czuć było że jest przeładowany i lokomotywa ciężko sapiąc ledwo go wlokła. Następnym przystankiem był Chodorów. Tu znowu dłużej staliśmy, zdaje się przypinano jakieś wagony z więźniami, tu już ustawiono posterunki tak, aby nie dopuszczać ludności cywilnej na peron. Następnym postojem miał być Lwów. Przed Lwowem jest miejscowość Sichów. Jest tam większe wzniesienie terenu i tu pociąg jeszcze bardziej zwolnił swój bieg. W pewnym momencie pociąg stanął, lokomotywa zaczęła przeciągle gwizdać, rozległy się krzyki komend i posypały się gęste trzały. Okazało się, że w jednym z wagonów więźniowie wyrwali kratę okienną i trzech więźniów skoczyło z okna w głęboki śnieg, kierując się w stronę lasu i zarośli.

Puszczono się za nimi w pogoń, podkładano na trop psy, które ciesząc się ze zwolnienia z linki uganiały po śniegu szczekając radośnie. Cały pościg nie udał się, a my przekonaliśmy się, że psy dobre są tylko do kłaniania, a o pościgu nie mają pojęcia. Konwojenci starali się na nas swoją złość wyrzucić używając soczystych wyzwisk, do czego język rosyjski doskonale się nadaje. Po długim postoju ruszyliśmy dalej i o zmroku stanęliśmy we Lwowie na bocznych torach daleko za dworcem. Kręcili się tam pełniący służbę nasi kolejarze i z widocznym współczuciem obserwowali nasz transport. Nie pytali nas o nic, gdyż pociągu pilnowali uzbrojeni żołnierze z psami. Ponieważ moja szwagierka mieszkająca we Lwowie postanowiłem ją zawiadomić o naszym wywiezieniu. Znalazło się w wagonie pudełko od papierosów i krótki ołówek. Na jednej stronie napisałem adres szwagierki, a na drugiej podałem spis najbliższych znajomych wiezionych jak mi się wówczas zdawało na Sybir. Kiedy obok naszego wagonu przechodził kolejarz zawołałem półgłosem: „rzucam kartkę”.

Kolejarz przystanął pod oknem, a kiedy rzuciłem kartkę stanął na niej nogą i udając, że spadła mu rękawiczka, którą rzeczywiście opuścił, podniósł i rękawiczkę i kartkę, a potem wolnym krokiem poszedł dalej. Jak się dopiero po wojnie przekonałem, odniósł kartkę pod wskazanym adresem następnego dnia rano. Na dworcu we Lwowie staliśmy całą dobę, przeładowywano nas do pociągu rosyjskiego o szerszym rozstawie kół. Wagony były tak samo urządzone jak już poprzednio opisałem i w tym samym składzie znaleźliśmy się w ruskich wagonach. Ładowanie odbywało się nocą, gdyż władze radzieckie zdawały sobie sprawę, że te barbarzyńskie metody nie podobają się nawet najbardziej lewicowym Polakom. Nad ranem pociąg ruszył, pożegnaliśmy jak się okazało, nasz polski Lwów na zawsze. Bohaterski Lwów (Semper fidelis) z emmentarzem „Orląt Lwowskich” poległych w walce z Ukraińcami podczas I wojny światowej.

*Rzeczywiście któregoś dnia z dala zobaczyliśmy samochód jadący w naszą stronę z biało-czerwoną chorągiewką. Zaplanowała radość i momentalnie utworzyliśmy na dziedzińcu czworobok. Obecny z nami plutonowy rezerwista Bożemski z Tłumacza podał komendę „baczność, na prawo patrz”. Samochód zatrzymał się przed frontem. Wyszedł z niego mężczyzna w rosyjskim mundurze pułkownika, w rogatywce, na której nie było właściwego orzełka tylko jak mawiali Rosjanie „Kurica”.*

## Wspomnienia okupacyjne

JAN LIPIŃSKI

W roku 1939 będąc w Przysposobieniu Wojskowym (w okresie wakacji) jak i liczni moi koledzy byliśmy skoszarowani w budynku byłego seminarium. W tym okresie wojskowym komendantem Tłumacza był kapitan rezerwy Michał Dębiec nauczyciel i dyrektor szkoły podstawowej.

Byliśmy umundurowani w wojskowe mundury i uzbrojeni w karabiny. W mieście pełniliśmy całodobową służbę porządkową. Byli tam prawie wszyscy uczniowie starszych klas miejscowego gimnazjum oraz młodzież poza szkolną. Pamiętam, że duch w oddziale panował wspaniały, ale nastąpił krach gdy otrzymaliśmy wiadomość, że wojska rosyjskie przekroczyły granicę.

Któregoś wieczoru (daty nie pamiętam) byłem po służbie i bardzo przygnębiony gdyż za kilka godzin, jak słyszałem, do miasta miały wejść wojska rosyjskie, z odrętwienia wyrwał mnie wzmiankowany kapitan M. Dębiec. Na jego prośbę osobiście odprowadziłem Go do domu i sam też poszedłem do swego.

Rano usłyszałem, że w nocy sowieci „zabrali” kap. Dębca i wszystkich mych skoszarowanych kolegów.

W tym stanie rzeczy przebrałem się w cywilne ubranie i zacząłem się ukrywać. Od członków rodziny wiem, że w godzinach rannych przyszli do mego domu ukraińcy (byli koledzy szkolni: Leon Ryndycz, Piotr Bury, Adam Ryndycz i inni), którzy zrobili rewizję i zabrali karabin, mundur i płaszcz.

Po pewnym czasie (po paru tygodniach) sytuacja się wyklarowała i nie miałem żadnych kłopotów. Podczas okupacji niemieckiej byłem wcielony do „Baudienst” w Nadwórnej gdzie pracowałem w tamtejszym tartaku. „Baudienst” był podzielony na dwa oddziały t.j. polski i ukraiński (dat nie pamiętam).

W tym czasie w woj. stanisławowskim pojawiły się partyzanckie oddziały „Kowpaka”, które przyczyniły się do pogłębienia chaosu.

Korzystając z tej sytuacji „Baudienst” po prostu się rozleciał. Wszyscy uciekli do domów i ukrywali się. Jednak po pewnym czasie wszystko wróciło do normy.

W terenie szalał terror banderowski więc i ukrywanie się nastęczało spore trudności. Obawiałem się sankcji niemieckich w stosunku do rodziny. W tym stanie rzeczy tak ja, jak i wielu kolegów zgłosiło się do Baudienstu ale w Stanisławowie. Zostałem przyjęty. Komendantem naszego polskiego oddziału był kapitan Jankowski. Tu też mieliśmy podobnie jak w Nadwórnej odpowiednie uniformy robocze i drewniaki. Pracowaliśmy na dworcu kolejowym przy załadunku i wyładunku wagonów i.t.p.

Skoszarowani byliśmy w koszarach wojskowych 48 pp. przy ul. 3 Maja. Do pracy maszerowaliśmy czwórkami i wolno nam było śpiewać po polsku. Jedną z często śpiewanych piosenek była pieśń wojskowa „Rekrucie masz karabin mój jam stary rezerwista”.

Wczesną wiosną 44 roku gdy front wschodni zbliżał się do woj. stanisławowskiego w Baudienście miało to swoje reperkusje. Często były ucieczki tak Polaków jak i Ukraińców, którym „Baudienst” też bardzo nie podobał się. Doszło do tego, że komendant polskiego oddziału kapitan Jankowski w tajemnicy powiedział, że ma zamiar nas wyprowadzić do lasu. Do tego jednak nie doszło, bowiem gdy wyczuliśmy, że wojska radzieckie są już o kilkadziesiąt km. od Stanisławowa „Baudienst” rozproszył się.

Do Tłumacza ruszyłem pieszo.

Cała droga od Stanisławowa do samego Tłumacza była zatłoczona wycofującymi się wojskami niemieckimi. Szedłem w ubraniu „baudienstowskim” więc widzieli kim jestem i specjalnych utrudnień nie miałem. Niemniej jednak co pewien czas zatrzymywano mnie pytając o sytuację — dlaczego idę w odwrotnym kierunku? Znając trochę niemiecki niezmiennie odpo-



wiedziałem, że idę po rodzinę i będę podążać na zachód. Tak szczęśliwie dotarłem do domu (daty nie pamiętam) lecz było to przed Świętami Wielkanocnymi.

Do Tłumacza od strony Pilawszczyzny wdarły się przednie sowieckie oddziały wojskowe, które jednak były za słabe by utrzymać się w mieście i po kilku godzinach wskutek kontrataku niemieckiego zaczęły się wycofywać w kierunku skąd nadeszły. Ja widząc cofające się wojsko sowieckie, bez namysłu, bez żadnego zaopatrzenia podążyłem za nimi. Była to ostatnia chwila, gdyż widziałem następujące wojska niemieckie. W tym czasie podobnie jak ja wraz z sowietami uciekało wielu Tłumaczan. Droga odwrotu (szosa w kierunku do Jeziezan) bez ustanku była bombardowana. Dużo wojsk sowieckich a nawet tych Tłumaczan, którzy uciekali szosą zginęło lub zostało rannych. Ja starałem się uciekać polami zdala od szosy. Masakra nastąpiła w Jeziezanach. Wiele wojska i ludności cywilnej szukało osłony w zabudowaniach. To okazało się zgubne. Domy drewniane — kryte słomą po zbombardowaniu paliły się jak pochodnie.

Jako ciekawostkę zapamiętałem, że sowietci cofając się zabrali z Tłumacza kilku ukraińców m.in. Mikołaja Czaplńskiego i Leona Ryndycza, których znałem osobiście, a którzy zostali w Jeziezanach rozstrzelani za próbę ucieczki. Byli to nacjonaliści.

Od Jeziezan spotykało się coraz więcej Tłumaczan. Wszyscy uciekali na wschód byle jak najdalej od frontu, który stale posuwał się za nami. Ostatecznie front ustabilizował się na kilka tygodni dopiero pod Chocimierzem a my Tłumaczanie szliśmy dalej do Kołomyży a następnie Horodenki. Tu już było spokojnie, samoloty nie latały a my bezdomni w obawie, że front może być przesuwany, że nas gdzieś osaczą banderowcy w miejscowości Żwiniaczka przekroczyliśmy dawną granicę państwową na Dniestrze i znaleźliśmy się w Rumunii. Cały czas byliśmy na proszonym chlebie. Dosłownie wszyscy zebrałiśmy. Jednak tereny to rolnicze więc bez większych problemów żyliśmy z dnia na dzień, idąc z wioski do wioski. Tak doszliśmy do Czerniowic.

Tu zastaliśmy już dużo uciekinierów nie tylko z Tłumacza ale i z innych polskich miejscowości. Władze miejskie oddały do dyspozycji uchodźców kilka szkół. Ja po kilku dniach pobytu w takiej szkole gdzie dawano nam bezpłatne i całodniowe wyżywienie czułem się źle (za dużo ciżba — małe dzieci itp.).

Pamiętam, że razem z Wilhelmem Kłonowskim (obecnie zam. Wrocław) oraz dwoma kuzynami Zygmuntem i Eugeniuszem Lipińskimi przenieśliśmy się do jakiegoś pustego parterowego domku. W sumie zamieszkało tam nas około dwunastu. Nikt nie żądał żadnej zapłaty, zameldowania itp.

Domek ten był całkowicie opuszczony i bez jakiegokolwiek umeblowania, ale okoliczna ludność przyniosła nam żelazne łóżko, dali pościel i parę garnków i talerzy. W samych Czerniowcach przed wojną zamieszkiwało wiele tysięcy Polaków obywateli rumuńskich. Właśnie to oni a szczególnie dziewczęta nie dopuścili do tego byśmy cierpieli głód. Stałe i każdego dnia donosiły produkty spożywcze. Więcej jak zachodziła potrzeba. Życie nie umierać. Wszystko jednak co dobre szybko się kończy. Sielanka trwała do 9 czerwca 44 r. kiedy to nocą w czasie snu wojsko sowieckie otoczyło domek i nas wszystkich zabrało do jakiejś piwnicy. Następnie w dniu 11.VI.44 załadowano nas do wagonów towarowych i pod eskortą wywieziono do Rosji. Je-

chaliśmy przez Bojanów, Nowosielicę. Dnia 13.VI. byliśmy w Mohylowie skąd jechaliśmy dalej przez Hniuoniu Szetynti Winnica, Berdyczów i Żytomierz.

W dniach 17-30 VI 44 r. byliśmy zakwaterowani w ruinach jakiegoś dawnego dworu. W pobliżu nic, prawie goła ziemia. Zaprowadzono nas wszystkich do lasu i kazano zrywać trawę i gałęzie na legowisko. Tak też zrobiliśmy (tam teren piaszczysty i dlatego nie było żadnej trawy ani zboża). W czasie przetrzymywania nas w Czerniowcach w piwnicy nic nam nie dano jeść, dopiero w podróży każdemu dano kostkę sprasowanego żyta wielkości kawałka mydła około 0,25 kg. To trzeba było gotować a nie było w czym. Wierzyć się nie chce ale to prawda.

Wyszukiwaliśmy puszki po konserwach wyrzucone przez oddziały frontowe, przyczepialiśmy kawałek drutu i gdy był postój to otrzymaną kostkę gotowaliśmy trzymając nad ogniem. Cały czas komendę nad nami mieli Rosjanie i mówili, że lada dzień przyjadą polscy oficerowie i oni to przejmą komendę.

Rzeczywiście któregoś dnia z dala zobaczyliśmy samochód jadący w naszą stronę z białą-czerwoną chorągiewką. Zapanowała radość i momentalnie utworzyliśmy na dziedzińcu czworobok. Obecny z nami plutonowy rezerwista Bożemski z Tłumacza podał komendę „bacznosc, na prawo patrz”. Samochód zatrzymał się przed frontem. Wyszedł mężczyzna w rosyjskim mundurze pułkownika, w rogatywce, na której nie było właściwego orzełka tylko jak mawiali Rosjanie „Kurica”.

Plut. Bożemski gdy to zobaczył zaniemówił i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Oficer ten zdając sobie sprawę, że jest coś nie tak, długo ścigał z rąk rękawice, które sięgały do łokci (pierwszy raz w życiu takie widziałem) a następnie odezwał się: „poczemu nikt nie zdajot raportu”. Nic to nie poskutkowało, a przyczyniło się do kilku ucieczek.

Dnia 1.VII. była Komisja Poborowa. Skierowany zostałem do Szkoły Wojskowej. Był wybór rodzajów broni, najkrócej polityczni, najdłużej artyleria. Zdecydowałem być w szkole jak najdłużej i mówię, że chcę do artylerii. Przewodniczący jakiś pułkownik zapytał „a poczemu ty w artylerii”. Odpowiedziałem bo mój tato był w artylerii. Pytanie a gdzie on w sejmie jest. Odpowiedź — pohib w walce z germańcami. Odpowiedź „prawylno”. Do dziś nie wiem czy poprawnie, że pohib czy, że z germańcami. Fakt, że zostałem artylerzystą i w tym rodzaju broni przeszedłem cały szlak bojowy od Pragi pod Warszawą do Berlina.

W dniu 25.XI.44 zakończyłem szkołę i skierowany zostałem do 5pp. I Armii WP gdzie był też por. Wojciech Jaruzelski. Po zakończeniu wojny z Niemcami przeniesiono nas na Wschód gdzie jeszcze prawie cały rok walczyłem z UPA.

Przypomniałem sobie jeszcze następujące fakty:

W Stanisławowie w Baudieńście razem ze mną byli m.in.: Emil Kłonowski, Mieczysław Kłonowski, Tadeusz Kłonowski syn Adama i drugi Tadeusz Kłonowski, Zygmunt Kłonowski syn Klemensa, obecny filmowiec Jerzy Kawalerowicz.

W Czerniowcach byli: Wilhelm Kłonowski, Mieczysław i Karol Kłonowscy, żona Karola — Janina, Bożemski, Baranowski Kazimierz, Lipiński Zygmunt i Eugeniusz, ksiądz Wróbel i inni.

## Kościół p.w. św. Anny — Tłumaccy księża

*Spizowym dźwiękiem uroczyście, radośnie witają dzwony Biskupa Baziakę — a on wita się z Proboszczem, Klerem, identycznie wita się z greckokatolickim proboszczem, ks. Pławiukiem, tak samo z Rabinem, bo Żydzi też przyszli z Torą... bo Tłumacz, to 1/3 Polaków, 1/3 Rusinów i 1/3 Żydów.*

*To nasz Tłumacz.*

## Wspomnienia o Tłumackim kościele

HANKA GABAŃSKA-KRUSZYŃSKA

Fotografię kościoła w Tłumaczu miała moja, nieżyjąca już siostra, ale to i tak była fotografia z przed pierwszej wojny światowej. Na tejże fotografii kościół ma, gotyckie wieże. Zostały one zniszczone. Odbudowania wież, a raczej planu odbudowy podjął się inż. architekt, Jan Pałka; wieże odbudowano, ale w jakim to było stylu? Na podbudowach (resztkach) wież stanęły ciężkie ostrosłupy, nie mające nic wspólnego z całym kościołem. Gdy przyjechał do moich rodziców ks. pra-

stary, brodaty Bóg Ojciec, a w trójkącie gotyku był Duch Święty — gołębicą, i Oko Opatrzności”. Na prawo od ołtarza było wejście z zakrystji z piramidalnie umocowanymi, półpłaskimi dzwonekami; pociągało się za metalowy uchwyt przy zakończeniu szerokiej, misternie haftowanej szarfy; oznaczało to, że ksiądz mający celebrować Mszę św. wychodzi z zakrystji — poprzedzany przez ministrantów. Po obu stronach, pod ścianami, stały stale z jednego dębu. Stale miały po sześć miejsc, t.zn. ławy szerokie z wysokimi oparciami, na przodzie oparcia na ręce i podnoszone, po jednej, trzy krzesła. Prezbiterium oddzielały od nawy ręcznie kute, wykończone drewnianym oparciem balaski. Miejsca w stalach zajmowały panie chcące pokazać nowe toalety i kapelusze. Tylko jedna pani, malutka, zgarbiona, ubrana jednakowo, tak zimą, jak i latem w wytartym futerku i „czubatej” zawiązanej pod brodą

czapeczce; była to pani hrabina Dzieduszycka z folwarku w Pałahiczach, w którym gospodarstwo prowadził jej siostrzeniec, p. Marian Wartanowicz. Wtrącam to, że p. Marian Wartanowicz był więźniem w Mumau. Po zakończeniu wojny, przyszedł do mojej i mego ojca kwatery, chcąc dowiedzieć się o losie swojej żony, Krysi (nee Tayerle) i o losie dzieci, Anulki i synka, którego imienia nie znam. Objśniłam go, że żona z dziećmi jest w Lusace razem z rodziną pp. Agopsowiczów. Obecnie wiem z dawnego „Dziennika Żołnierza”, że pan Marian Wartanowicz zmarł.

Należałoby „wrócić” do kościoła w Tłumaczu, bo jeszcze nie wyszłam z prezbiterium, a gdzie boczne nawy?, gdzie boczne ołtarze? Gdzie ambona, w którą laseczką uderzała kolatorka probostwa, p. Magdalena Dolaisowa, gdy ks. kanonik, Edward Tabaczkowski, proboszcz przedłużał „kazanie”; tenże sam Kanonik,

Widok ogólny  
Tłumacza

łat Jan Kwolek (Sekretarz biskupa Fiszerza w Przemyślu) — zwrócił się do mojego ojca ze słowami: „Jeszcze w życiu takiego paskudztwa, jak ten wasz kościół, — nie widziałem”. Odnosiło się to tak do wyglądu zewnętrznego, jak i wnętrza kościoła. Dla nas ten kościół, pod wezwaniem Św. Anny — był drogi i bliski, i nam, wtedy jeszcze dzieciom — bardzo podobał się, bo miał masę złocień. Z babińca były trzy wejścia: nawa główna z olbrzymim ołtarzem, tabernakulum, a na całej ścianie, w złotosrebrnej blasze, płaskorzeźbie, Św. Anna z Córką, tzn. z Matką Boską i Panem Jezusem na ręku. Na czas postu wjeżdżał obraz Ukrzyżowania Chrystusa; to było w sepii i fioletach. Nam, dzieciom, najbardziej podobała się św. Magdalena z rozpuszczonymi, długimi, blond włosami. Matka Boska, św. Jan, i uciekający faryzeusze byli na tle burzliwego nieba i rozpadającej się ziemi. Nad obrazami, (na stałe) był



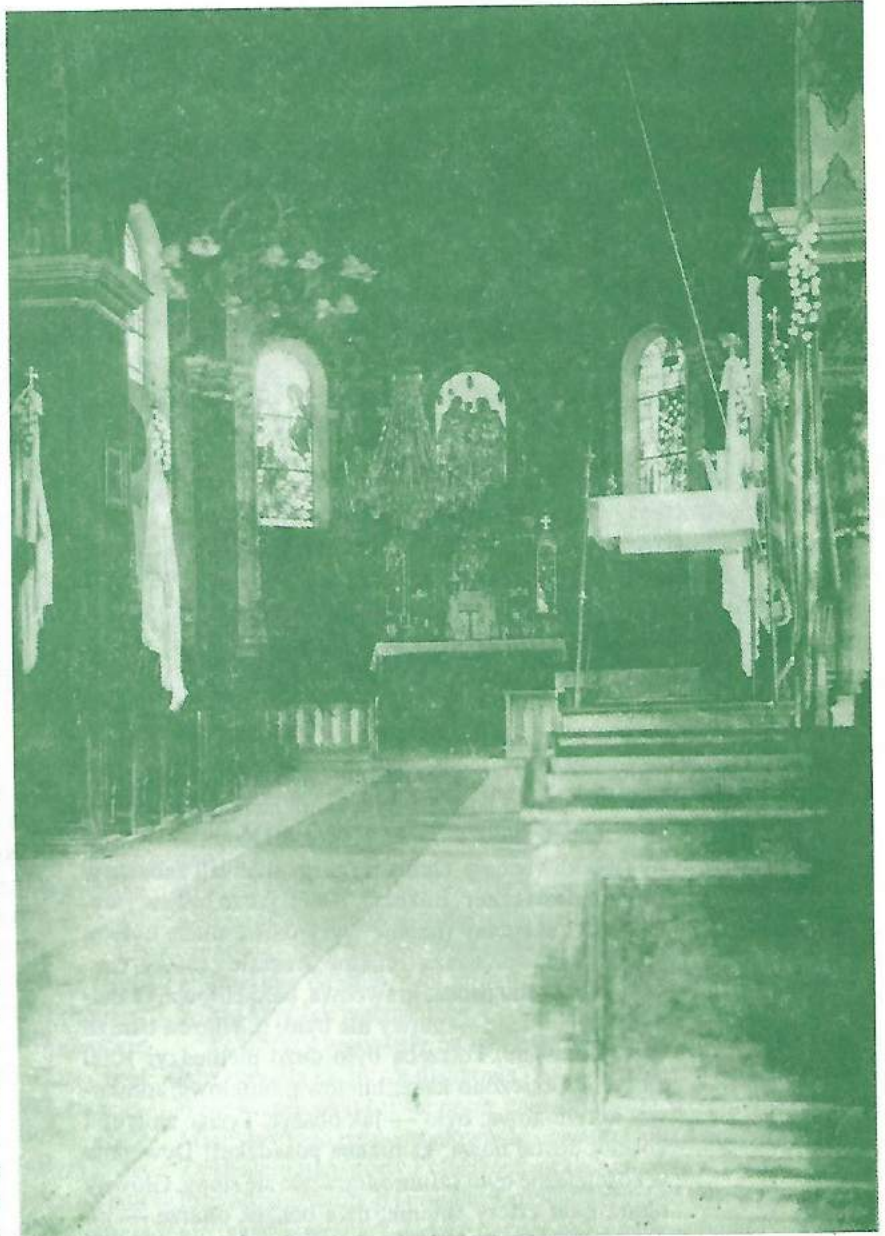
który chciał przejąć handel, rzemiosło z rąk żydowskich, a potem, jak do mojej mamy, tu do Anglii pisała jedna z parafianek, ukrywał Żydów i pomagał im w czasie niemieckiej okupacji został aresztowany i zmarł w Stanisławowskim więzieniu.

Kościół podzielony był na trzy nawy; boczne nawy oddzielone były wielkimi, w stylu gotyckim filarami. Od strony głównego ołtarza, przy filarach, stały 4 konfesjonały, z których jeden, ozdobiony rzeźbami był w jasnym dębie; to był konfesjonał ks. Kanonika; ale używanie go nie było zakazane, zwłaszcza w czasie pierwszego piątku miesiąca, spowiedzi szkolnych i Odpustu w dniu św. Anny. Patrząc od wejścia w stronę wiecznej lampki (prawdziwej, olejnej, z knotkiem; dzisiaj w kościołach wieczne lampki — to grube świece). Lampka zwisała z gotyckiego stropu na łańcuchach do podciągania i opuszczania. Tego pilnował Czesio Tuzinkiewicz. Czesio sprzątał kościół, ustawiał szopkę na Boże Narodzenie, w lewej nawie; ślicznie i pomysłowo przygotowywał „Boży Grób”. To było arcydzieło, które mieściło się w prawej nawie, przed ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej. Od wysokiego tabernakulum spływały promienie z białego tiulu. W grocie wstawione było lustro. Wśród hiacenty i narcyzów ułożona figura Chrystusa osłonięta była od strony stopni kwiatami a jej ułożenie i odzwierciedlenie w lustrze stwarzało przestrzeń. Przed ołtarzem biła delikatna fontanna. Czesio Tuzinkiewicz miał kolosalne zdolności artystyczne. Czesio nie był bigotem i przy swoich zajęciach gimnazjalnych a następnie teologicznych był wesoły, — lubił towarzystwo kolegów i koleżanek. Czesio z bratem, Tońciem, mieszkali w małym domku, w sadzie rodziców, pp. Tuzinkiewiczów (byli właścicielami młyna i elektrowni, które mieściły się z prawej strony, za kościołem, przy drodze do wsi Jackówka. Pp. Tuzinkiewiczowie z rodziną, mieszkali blisko wylotu ulicy Kolinieckiej, prawie przy węździe na t.zw. dolny folwark pp. Dolaisów.

W ołtarzu był, dużych rozmiarów wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Czarna Madonna odziana była w złotą blachę i klejnoty. Ponad ołtarzem był wizerunek św. Floriana z dzbankiem wody.

Przy tym ołtarzu odbywały się majowe nabożeństwa” i msze święte w uroczystości patriotyczne.

W lewej nawie był ołtarz Serca Chrystusa; tutaj odbywały się nabożeństwa czerwcowe i przy tym ołtarzu Czesio Tuzinkiewicz wyczarowywał szopkę. Na filarze lewej strony był ołtarz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Na ołtarzu stała figurka św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Komu poświęcony był ołtarz wprost naprzeciwko konfesjonału ks. Kanonika? nie pamiętam... Cofając się ku wyjściu były dwa równoległe filary z konfesjonałami z ciemnego drzewa. Ołtarz prawy miał duży obraz św. Rocha, który przedstawiał naturalnej wielkości pielgrzyma z kijem pielgrzymim w prawej ręce; ręka lewa unosiła szatę pielgrzymią, odstawiając ranę na kolanie a pies (czy wilk?) lizał dużą, głęboką ranę. Przy filarze z lewej strony był ołtarz św. Antoniego. Z boku, przy ołtarzu stała duża figura św. Antonie-

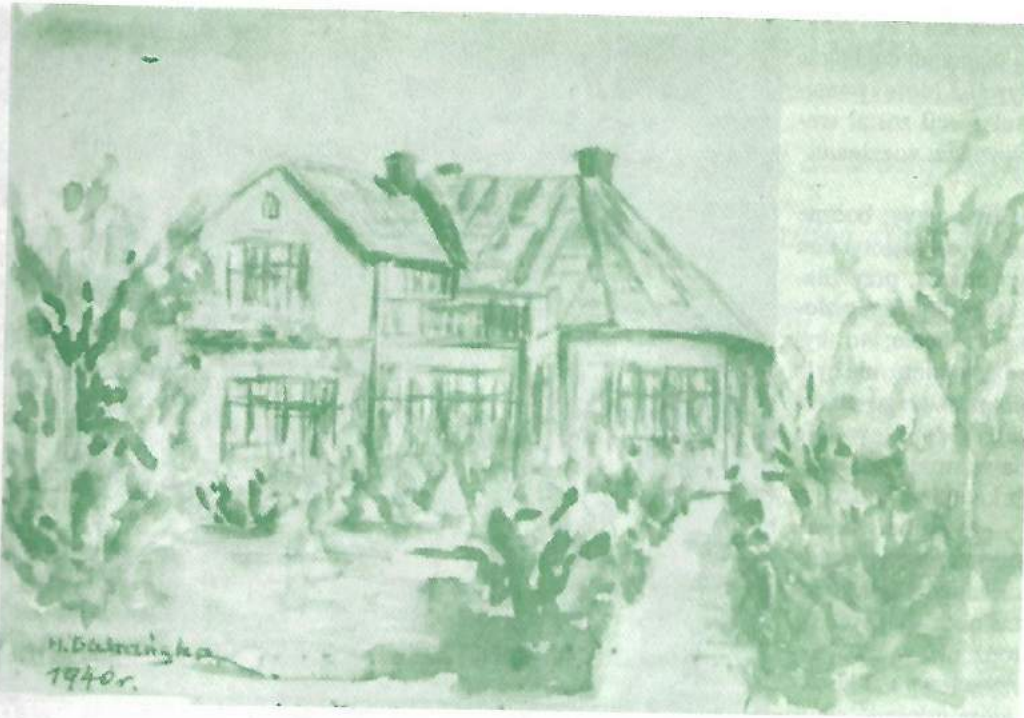


Wnętrze Kościoła

go. Ta figura była votum mojej matki w podzięcie za szczęśliwy powrót mego ojca z pierwszej wojny światowej, a zakupiona była za pieniądze zarobione szyciem.

Msze święte odprawiane były bardzo rzadko przy tych dwóch, bliskich wyjściach ołtarzach. Kościół nigdy nie miał ogrzewania. Nie pamiętam, jakie były witraże. Wzdłuż głównej nawy stały po obu stronach przejścia długie ławki, tylko ta jedna, pod amboną była o wiele większa od innych — to ławka kolatorska. Ambona była z jasnego dębu; wchodziło się na nią krętymi schodkami zaopatrzonymi w balustradę. Na wszystkich ołtarzach stały lichtarze mosiężne z woskowymi świecami i flakony z kwiatami. Świece zwykle zapalał zakrystian; często Czesio Tuzinkiewicz, czasem ministranci. Ilość i grubość zapalanych świec mówiła o intencji Mszy Świętej. Zapalanie wysokich świec było sztuką; a żeby trafić w knot świecy, żeby jej nie przewrócić, a po nabożeństwie ostrożnie zgasić, tzw. przez nas „kapciuchem”!

W bocznych nawach, wzdłuż ścian stały długie, wąskie ławki, bez klęczników. Ławki głównej nawy miały



Dom rodzinny  
Zofii i Józefa  
Gabańskich  
w Tłumaczu woj.  
stanisławowskie;  
malowany  
z pamięci  
w Kazachstanie

i klęczniki i oparcia — pulpity na książki do nabożeństwa. W całym kościele była kamienna posadzka, a że była mocno zniszczona ks. Kanonik i Komitet kościelny (właściwie cały Tłumacz) zorganizowali zabawę w sali gimnastycznej „Sokoła”. Bufet, jak to było w zwyczaju był składany (napoje wysokokowe brane były w komis). Nad sprzedażą trunków w czasie zabawy, czuwała olbrzymia osoba, krawcowa, pani Hilowa. O żadnym upijaniu się — mowy nie było; p. Hilowa bardzo tego pilnowała. Potrzeba było dużo pieniędzy: 1000 złotych! Obliczono kasy: biletową, bufetową, trunkową, kotylionową; było — jak obszył, Tysiąc złotych i kościół dostał nową, kamienną posadzkę!! Dywanów w kościele nie było i zimą odmrażało się stopy. Główny ołtarz miał cztery stopnie: dwa boczne ołtarze — po dwa stopnie a cztery, bliższe wyjścia miały po jednym stopniu. Wszystkie stopnie były dębowe. Po bokach naw stały featrony i — w specjalnych uchwytach — sztandary. Na sztandarze Młodzieży Katolickiej, rzemieślniczej, był malowany przez moją matkę św. Stanisław Kostka. Pewnie dlatego w naszej rodzinie jest tu, na emigracji aż trzech Stanisławów, którym patronuje św. Stanisław Kostka. Ten młody kołędnik z reportarzu w „Dzienniku”, to jest mój bratanek, Stasio, którego ojcem jest mój brat też Stanisław, i mój siostrzeniec, syn mojej młodszej siostry, która zmarła na atak serca — 5 sierpnia b.r. — ma również na imię Stanisław. Wszyscy trzej mają za patrona św. Stanisława Kostkę.

Wracam do kościoła: z babcia prowadziły

schody na balkon t.zw. chór z organami i na wyjście na kamienny balkon, z którego codziennie słyszało się małą orkiestrę dętą; na cały Tłumacz brzmiało „Kiedy ranne wstają zorze” a wieczór „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Kościół otoczony był trawnikiem i chociaż to jest nazywane cmentarzem, nie pamiętam ani jednego grobu na trawniku. Niski murek otaczał trawnik, ale ani od frontu, ani od tyłu, nie było bramy. Tu celebrowano małe procesje; zwykle trzykrotnie. To dopiero była radość... i oglądanie się... i plot-

ki... i porównania. Tu, to już musiało się być ubranym „jak szewc na niedzielę”.

Kościół miał osobną dzwonnice. Bił duży dzwonn. msza św. za trzy kwadrane. „Bije” mały dzwonn — msza św. za pół godziny; dźwięcznie, szybko dzwoni „sygnaturka” msza św. za kwadrans. Biły te dzwony trzy razy dziennie „Na Anioł Pański”... Dzwony biją pojedynczo: żegnają kogoś, kogo Bóg powołał do siebie... Spiżowym dźwiękiem uroczyste, radośnie witają dzwony Biskupa Baziaka — a on wita się z proboszczem, klerem, identycznie wita się z grekokatolickim proboszczem, ks. Pławiukiem, tak samo z Rabinem, bo Żydzi też przyszli z Torą... bo Tłumacz, to 1/3 Polaków, 1/3 Rusinów i 1/3 Żydów. To nasz Tłumacz.

Od redakcji: autorka wspomnień (już nie żyjąca) została 13 kwietnia 1940 wywieziona z rodziną z Tłumacza za Ural. Po powrocie z Rosji zamieszkała na stałe w Anglii. Swoje wspomnienia spisała u schyłku życia, jako 90-letnia staruszka.

W Z.T. Nr 1 p. Antonina Gabańska — siostra p. Hanki Gabańskiej w art. „Moja wycieczka do Kazachstanu” opisuje kupioną tam chatkę. Przedstawiamy wykonane przez nią akwarelki.



Sobaczij Hutor;  
Posiołek;  
Zapasne; Kolchoz;  
Bolszoje Rejon;  
Pieszanka;

## W cieniu białych nocy i czarnych dni

*W lutym zaczęła się wywózka Legionistów z rodzinami, czyli osadników. Dochodziły do nas coraz straszniejsze wiadomości, że następna wywózka to będziemy my.*

### Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mego życia

ciąg dalszy

ANNA PANACHIDA-BOCHEŃSKA

Nasz brat miał talent do majsterkowania, zmontował więc zapalniczkę elektryczną (brak było zapalek). Wykonał radio na słuchawki, z anteną nad dachem. W 1940 roku zima nie poskąpiła nam śniegu i mrozu, brat wychodząc przed godziną 22-gą w celu odśnieżenia, przy bramce usłyszał głosy dwóch żołdaków, uzbrojonych w karabiny. Zapytali czy „radio rabotajet”. Brat bez namysłu odpowiedział: „rabotajet”, „a można posłuchać”, brat również odpowiedział „można”.

My, siostry z matką, niczego się nie spodziewając, skamieniałyśmy ze strachu widząc brata w drzwiach z żołdatami o tak późnej porze. To radio, ta mała skrzyneczka wykonana ręcznie przez niego, była bardzo pieczołowicie pilnowana przed wilgocią. Uważał, że najlepsze miejsce będzie na piecu. Kiedy żołdaci usiedli, on z wielką pompą zdjął z pieca swoje radio, zakładając słuchawki jednemu z nich. Posłuchali i powiedzieli: „charaszo, do swidania”.

W lutym zaczęła się wywózka legionistów z rodzinami, czyli osadników. Dochodziły do nas coraz straszniejsze wiadomości, że następna wywózka to będziemy my. Trzeba było koniecznie zmienić miejsce zamieszkania. Czuliśmy się osaczeni, w czym pomagała miejscowa ludność: Ukraińcy i Żydzi. Sąsiedzi wiedzieli, że wojsko sowieckie organizuje furmanki. W nocy z 12-13 kwietnia 1940 roku zaczęła się następna wywózka. To były straszne chwile! O 2-giej w nocy znów zadudniły kroki pod domem i znajome walenie w drzwi. Dom był obstawiony miejscowymi Ukraińcami. Starsze rodzeństwo moje wynosiło pościel, ale jeden z Ukraińców wnosił je z powrotem. Na 5-osobową rodzinę pozwolono zabrać 1 pierzynę, 2 poduszki, parę drobiazgów i odzież, w którą byliśmy ubrani. Mama powiedziała, ażeby wynieść kotkę z kociętami i psa puścić z uwięzi. Pies Burek był niebezpieczny i zawsze pragnący wolności. Po odpięciu przeskoczył płot, przeleciał się po ogrodzie i natychmiast wrócił wiernie siadając przy furmance. Trzeba wspomnieć, że po aresztowaniu ojca, pies był całymi nocami, siedząc na budzie z głową zwróconą ku Wschodowi. To jego wycie doprowadzało matkę do rozpaczki. Odprowadził nas do stacji kolejowej i biegał w koło wagonu, w którym zostaliśmy zamknięci aż do odjazdu.

W naszym wagonie zajęli miejsca na pryczach p.Kochańska z dziećmi, p. Janina Tuzinkiewicz, p. Białkowska z dziećmi, p. Skowrońska z synem Romciem Stopnickim oraz z synem Stachem, p. Dreksler z dziećmi i ukraińska babcia Łuczasta z synem Nykołą. Pozostałych nazwisk nie pamiętam. Odjazd nastąpił w nocy. Matka siedząc jeszcze z nami na furmance powiedziała: podzieliliśmy los ojca. W każdy wieczór układając się do snu, myślałam i zadawałam sobie pytanie — czym on się okrywa? Czy nie jest głodny i czy chłód mu nie dokucza, a teraz bez żalu znaleźliśmy się w tej samej sytuacji. Brat Staszek uważał, że najpilniejsze jest zabranie słowników polsko-niemieckich i pół-

litrowy garnuszek, który trzeba przypiąć do paska. Nocą zaczęło się dopinanie wagonów. Wagony, którymi wożono bydło miały dostosowane drewniane prycze po obu stronach oraz wycięty otwór służący nam za toaletę. Wkrótce dał się słyszeć równomierny stukot kół. Ruszyliśmy w stronę wschodzącego słońca na długoletnią tułaczkę. Od czasu do czasu dawali nam „kipiatok”, kaszę i kluski. Kiedy transport dojechał do rzeki Zbrucz, zatrzymał się w Husiatynie, przeładowano nas na szerokie tory. W nocy słychać było jakby porykiwanie bydła, ale to były sygnały sowieckich lokomotyw i tak przekroczyliśmy przedwojenną granicę Polski. Za okienkiem wagonu zauważyliśmy bardzo biedne chaty i takie samo bydło pasące się po łąkach. Naród sowiecki wyglądał tak, jak ich gospodarka. Był to szczególnie wstrząsający widok dla naszych matek. Jadąc powtarzały, dlaczego oni tacy biedni? Przecież żyliśmy dosłownie o kilkaset kilometrów od nich, syci, ubrani, nie wiedząc, że oni tak blisko Polski żyją tak nędźnie.

Te obrazy wpływały na nas bardzo przygnębiająco. Za Uralem zerwała się burza piaskowa. To był znak, że jesteśmy już w Azji. Piasek wciskał się przez najdrobniejsze strzeliny wagonu. Mieliśmy jego pełno w głowach, oczach. Dokąd oni nas wiozą? Za Uralem transporty Polaków rozdzielane były w różne strony. Przeważnie wschód i północ. Z okienek słychać było nawoływanie, skąd jesteście? Padały nazwy polskich wschodnich miast: Lida, Tarnopol, Łuck, Stanisławów itd. Krajobraz zmieniał się w bezkresne stepy, gdzie z rzadka zauważało się osiedla. Miały niskie lepianki, tak zwane „ziemianki” z kilkoma chatami, pokryte konyszem.

Od przystanku kolejowego (nie pamiętam jego nazwy) rozwożono nas ciężarowymi samochodami. Podróż nasza trwała 2 tygodnie. Przywieziono nas do pasiołka Betmanowka, Pieszkowski rejon, Kustanojska Oblast, Kazachstan.

Z samochodów wyładowano nas przy kantorze, skąd rozsyłano do poszczególnych miejscowych ludzi, którzy przyglądali się nam z wielkim zaciekawieniem. Po dokładnym spisie, wszystkim zesłańcom powyżej 18 lat wręczono zaświadczenia „udostowierzenia” zezwalające na poruszanie się w granicach 20 km. Tubylcy po bliższym zapoznaniu się z nami mówili, że przyszli oglądać „popeniata”, tak informowała ich miejscowa władza. Nasza rodzina zamieszkała u Horbychy, tak bowiem nazywała się nasza przyszła gospodyni, która udzieliła nam dachu nad głową. Wyglądała raczej na chorą 40 letnią kobietę. Niedaleko chaty rosło pięć topoli, jedyne drzewa na cały posesiołek. Po rozważnym rozejrzeniu się na sąsiednie ziemianki, brat stwierdził, że naprzeciwko nas mieszka piękna, ciemnowłosa Polka z rodziną. Jak się potem okazało, ta ciemnowłosa piękność miała 20 lat, była żoną sędziego, miała troje dzieci: Tamarę, Januszkę

i Iwonkę. Zesłano ją również razem z matką. Z Tłumacza było nas 2 rodziny: p. Białkowska z córką Niną i synem Heniem i my. Pozostałe rodziny były z różnych miejscowości Kresów Wschodnich.

W niedługim czasie brata zabrali na wyrąb lasu. Był on oddalony o 50 km od naszej miejscowości. Po dwóch tygodniach wrócił. Opowiadaniom nie było końca. Najbardziej dokuczaly im komary. Są one w Azji wielkim niebezpieczeństwem, ponieważ są roznośicielami malarii. Lato krótkie, ale bardzo upalne szybko minęło. Zmieniliśmy kwatery. Następna nasza gospodyni Sofija — była to młoda mężatka, z dwójką małych chłopców, które trzeba było pilnować podczas jej nieobecności. Mąż był w więzieniu. Sofija pracowała w kołchozie, miała 1 krowę, po którą w każdy wieczór musiałam iść w step i przygonić do chaty. Robiłam to przeważnie w towarzystwie kazachskich dzieci. Wracając ze stepu dziewczynki pięknie śpiewały na głosy. Po przypędzeniu krowy, brałam ojca książeczkę do nabożeństwa, stawałam za drzwiami i modliłam się bardzo gorąco przy świetle księżyca. Byłam wątpią i bardzo spragnioną chleba, tak jak cała moja rodzina.

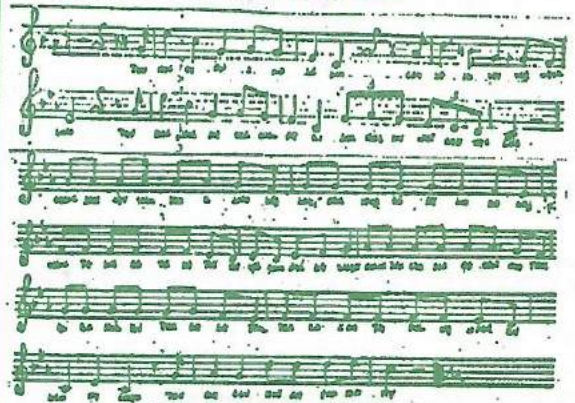
Pewnej nocy przysnił mi się kościół w Tłumaczu z głównym ołtarzem Św. Anny. Klęczałam tak, jakbym miała przyjąć Św. Komunię i w tem z ołtarza schodzi Św. Anna i podaje mi rogalik, który trzymała w ręku. Rano powiedziałam matce, jaki miałam sen, co ją z kolei zaniepokoiło. Przyglądała mi się bacznie, czy przypadkiem nie grozi mi choroba. Brat pracował w kołchozie przy kopaniu studni. Za pracę otrzymywał chude mięso, które matka stawiała na słońce, ażeby się zsiadło. Przy końcowym rozliczeniu, zawiadomili brata, że nic mu się nie należy, a jeszcze trzeba płacić.

Zima zbliżała się dużymi krokami. Matka zdecydowała się przenieść do posesiłka, w którym znajdowała się nasza ciocia wraz z czwórką dzieci (najstarsze miało dwanaście lat). Mieszkała ona w posesiłku Pryoziozycznym oddalonym od nas 15 km. Brat z siostrą nie mieli ochoty na przeprowadzkę, ale matka orzekła, że ciocia ma małe dzieci, a o opał jest bardzo trudno więc naszym obowiązkiem jest pomóc. Przed zimą nastąpiła przeprowadzka. Każdy z nas wziął tobolek w rękę i w drogę. W tym posesiłku mieszkali 8 rodzin polskich m.in. była p. Jeżowska, oraz p. Grenadier z córką. Z rodzin ukraińskich p. Sperkacz z trzema synami. Starszy Danko Sperkacz pięknie śpiewał dumki ukraińskie. Często bywali w naszej ziemiance, ponieważ starsze rodzeństwo należało już do dorastającej młodzieży.

Któregoś dnia poznali oni sowiecką nauczycielkę z wioski, która starała się ich wciągnąć do kółka artystycznego i nawet jej się to udało. Brat Danko, Borys śpiewał w sztuce „Natałka Połtałka”, mój brat również w niej występował. Zaczęło się niewinnie, ale nasi chłopcy chętnie korzystali z zaproszenia nauczycielki do swojej ziemianki. Matka była bardzo niechętna tym zalotom. Wiedziała, że głodnych chłopców szybko można zwabić dając im dobrego ruskiego barszczu. Widząc co się święci, poszła z pretekstem sprzedania lub zamiany odzieży za żywność. Wchodząc do ziemianki zauważyła dwóch braci siedzących przy stole wraz z naszym bratem. Matka spokojnie porozmawiała, następnie podnosząc się z ławy powiedziała: Stasiu chodź. Brat bez oporu wyszedł, ale na tym nie koniec. Musiała wytłumaczyć jemu, że nie życzy sobie, żeby się powtórzyły te zaloty. Robiła to cicho, leżąc obok niego na pryczy, bo w jednej izbie mieszkało nas 10 osób. My siostry również nie byłśmy wtajemniczone. Następnego dnia przyszła znów po brata, ale on jej nie usłuchał. Mama musiała to zrobić bardzo mądrze i przekonująco, bo jedno słowo źle zrozumiane przez niego mogłoby zadziałać odwrotnie. To był bardzo dobry moment wychowawczy w stosunku do nas, dorastających córek.

c.d.n.

## Nasz Tłumacz



Muzyka —  
Antoni  
Nowosad  
Słowa —  
Jerzy  
Czyżycki

*Tłumaccy moi koledzy, czasami słyszę wasz głos  
Tłumackie nasze chłopaki, jak różny spotkał was los  
Gdzie jest Zbyszek ten z Lipowej  
Władek spod Góry Lodowej  
Gdzie ta wiara te batiary, których każdy znał  
Gdzie ten Czesio aż spod Chatek  
Albo Miśku ten gagatek  
Ten co z katapultką w parku wrony gnał.*

*Dziewczęta nasze tłumackie, czasami spotykam was  
Dziewczynki z warkoczykami, jak bardzo zmienił was czas  
Dziś w Tłumaczu nie ma Ziutek  
Innych dziewcząt tych z Łokutek  
Słowackiego lub z Kościelnej z Rynku też  
Rozproszone gdzieś po świecie  
Ale zawsze je znajdziecie  
Bo tłumackie to dziewczyny, sam to wiesz.  
Tłumaczu kochane miasto, jak bardzo ciebie mi brak  
Zostałś po tamtej stronie, bo trojki taki był pakt  
Wciąż wracają nam wspomnienia  
Z Kolinieckiej z nad strumienia  
Tłumaczyka, bo tak potok ten się zwał  
Dziś już inny Tłumacz stary  
Bez gimnazjum i bez fury  
Lecz na zawsze w mej pamięci będzie trwał.*

*Tłumackie dawne wieczory, z rechotem nad stawem żab  
Spotkania gdzieś pod Sokotem, wspomnieniu minionych lat  
Tak bez przerwy wciąż wracają  
Ciągłe się przypominają  
Nu tych naszych zjazdach od szeregu lat  
Gdzie my wciąż się spotykamy  
Potęsknimy, pośpiewamy  
Bo zapomnieć nie możemy naszych chat.  
Tłumaczu nie zapomniany!*

Czy takie właśnie dziewczyny  
wspomina Jurek?

Na zdjęciu stoją:  
Zubrzycka, Teresa Ziłowska,  
Danka Tabińska,  
siedzą: Halunia Ziłowska,  
Niusia Tomen, Łochaza,  
Hanka Kariska.



## Tłumacki Holocaust

Ciąg dalszy wyjątków z książki wydanej w Izraelu

# „Sprawiedliwi — prawi nie Żydzi”

Ahlomo Blond (The Righteans Sentiles)

*Koropecki rozumiał trudne położenie Żydów, którym pomagał, ograniczał żywność dla własnej rodziny*

*Idi i inni dziękowali rodzinie Koropeckich za ich dobre serce i ludzkie uczucie, zanosili modły do Boga w ich intencji i przyrzekli nigdy nie zapomnieć o ich poświęceniu i dobroci.*

### DYMITR KOROPECKI

Po likwidacji getta w Tłumaczu w sierpniu 1942 r., w czasie którego zginęła cała rodzina Idi FEUERA, uciekł on w pole i lasy, nie dłużej jak kilka godzin zatrzymując się w jednym miejscu. Śmierć czaiła się dookoła. Czując, że traci siły zrozumiał, że musi szukać schronienia. Podszedł do domu chłopca Dymitra Koropeckiego we wsi Budzyń w pow. Tłumacz. Nie był sam, była z nim kobieta, którą spotkał w lesie, która także szukała schronienia przed zagładą. Gospodarz zgodził się ich ukryć przez jakiś czas. Pozostali u niego 6 tyg. kiedy Gestapo i milicja ukraińska przeszukiwali wsie za Żydami, którzy uciekli z łapanek. Władze ostrzegały chłopów, że każdy, kto ukrywa Żydów, będzie skazany na śmierć. wielu chłopów, którzy mogliby zgodzić się na ukrywanie Żydów w swoich domach było zastraszonych tym zarządzeniem.

Koropecki był w kłopotliwej sytuacji. Chciał pomagać Żydom, ale bał się podjąć ryzyko zagrożenia całej rodziny. Nie miał wyboru, musiał powiedzieć Żydom, których przechowywał, że muszą opuścić jego dom i szukać schronienia w lasach. Przyrzekł im, że ich nie opuści. Będzie im przynosić żywność i wodę wtedy, kiedy będzie mógł. Zaznaczył, że robi to bardzo niechętnie, gdyż może to wkrótce zagrozić śmiercią jemu i jego rodzinie.

Idi i inni poszli do lasu wzdłuż Dniestru. On sam odwiedzał znajomych chłopów, prosząc o żywność. Kiedy przyszła zima, Koropecki wziął ich do schronu, który był po drugiej stronie Dniestru, w naturalnej grocie powstałej przez obsunięcie się kamiennego brzegu nad samym brzegiem rzeki. Wejście było zakryte przez liczne głazy tak, że z zewnątrz nic nie wskazywało na to, że ktoś jest w grocie. Koropecki mieszkał naprzeciw groty, po drugiej stronie rzeki. Jego łódka rybacka była przy brzegu. Koropecki i Idi umówili się: Krótkie uderzenie wiosłem o łódkę oznaczało: Nie ma niebezpieczeństwa w pobliżu. Dwa uderzenia: uwaga, a trzy uderzenia: natychmiast ucieczka.

W czerwcu 1943 roku usłyszał mocne uderzenie wiosłem i wyszedł z groty. Zobaczył Koropeckiego, a z nim 3 Żydówki. Chciał żeby je przechować w grocie. Z początku Idi nie był z tego zadowolony, gdyż oznaczało to, że odtąd musi zaopatrywać w żywność 4 osoby. Koropecki przyrzekł pomagać i przekonał Ida, że powinien przyjąć tę trójkę. Były to: Henia Schechter, jej córka Miriam i pani Ostriger, wszystkie z Koropca. Koropecki zaopatrywał w żywność wszystkie, ale po miesiącu kobiety odeszły, nie mogąc znieść trudnych warunków życia w grocie.

W lipcu 1943 r. Idi spotkał Żydówkę ukrywającą się w lesie. Była w ciąży z dzieckiem i Idi bał się zabrać ją do groty. Wtedy kobieta powiedziała, że popełni samobójstwo rzucając się do Dniestru, a jej śmierć będzie go zawsze obwiniać w jego świadomości. Idi zdjęty współczuciem zgodził się ją zabrać. Jej mąż dowiedział się gdzie ona jest i w kilka tygodni potem dołączył do niej. W jakiś czas kobieta urodziła dziecko, bez pomocy akuszerki. Starła się bardzo tłumić bóle porodowe. Dziecko urodziło się żywe i wydawało się, że przeżyje, ale ojciec obawiając się, że płacz dziecka zdradzi ich schronienie, zadusił je własnymi rękami.

W tym czasie ukraińska milicja i Ukraińcy ze wsi przeszukiwali lasy tropiąc ukrywających się tam Żydów. Szukali też w pobliżu pieczary, ale do środka nie weszli i niebezpieczeństwo minęło.

Pewnego dnia kiedy Idi był w lesie szukając żywności, usłyszał hałas i zobaczył biegnącą między drzewami kobietę. Sądził, że to Żydówka, inna nie biegłaby po lesie. Przemówił do niej w jidisz (po żydowsku). Zatrzymała się i odpowiedziała w tym samym języku. Nazywała się Klara Demblinka, pochodziła z Koropca. Niewiele myśląc, przyprowadził ją do pieczary, gdzie dołączyła do kobiet szyjących i robiących na drutach dla rodziny Koropeckich, w rewanżu za żywność. To pozwoliło im przetrwać ten okres.

Przyszła jesień i deszcze, w grocie było zimno nie do zniesienia. Wkopali się więc głębiej w grocie, a u wejścia ułożyli z kamieni zasłonę od wiatru.

W październiku 1943 roku Ydi w czasie szukania żywności został złapany przez ukraińskich milicjantów. Z początku, kiedy był zamknięty w Oleszy, był traktowany dobrze. Ukraińcy nie bili go. Powiedzieli, co było kłamstwem, że Niemcy pozwolili polskiemu Żydom pojechać do Ameryki, z tym, że pojedzie cała rodzina, a nie pojedynczy ludzie. Pytali się, gdzie takie rodziny mogą teraz być? Idi zorientował się od razu, że jest to prowokacja. Powiedział, że o ile wiadomo, ten teren jest już „wolny od

Żydów". Od tego czasu milicjanci zaczęli go bić i torturować aż do utraty przytomności. Zawiadomili oddział policji kryminalnej w Tłumaczu, że złapali Żyda w lesie i że go przyprowadzą. Dwaj policjanci (jednego Idi znał osobiście) zostali wyznaczeni do odprowadzenia go do Tłumacza.

Szli przez las. Po drodze powiedzieli mu policjanci, żeby uciekał. Zaczął uciekać, biegnąc zygzakami, a policjant strzelał. Nie oglądając się czy go ścigają uciekał, a potem schronił się w pieczarze. Zaczął padać śnieg. Było bardzo niebezpiecznie chodzić po lesie, ponieważ na śniegu pozostawały ślady stóp. Koropeczki rozumiał trudne położenie Żydów, którym pomagał, ograniczał żywność dla własnej rodziny i więcej jej zanosił do pieczary, zawsze ostrożnie zacierając ślady.

Front zbliżał się w te strony. Pewnego dnia ukrywający się Żydzi zobaczyli robczy batalion Węgrów, którzy budowali fortyfikacje na drugim brzegu Dniestru i zakładali miny przeciwczołgowe. Żydzi starali się ukryć. Mieszkańcy wsi też byli w polu widzenia nieprzyjaciela za rzeką. Pewnego wieczoru Idi przepłynął łódką na drugi brzeg Dniestru. Ze zdumieniem dowiedział się, że w Koropcu jest już Czerwona Armia. Następnego dnia sowieckie wojska zajęły cały ten teren i wszyscy byli wolni. Idi i inni dziękowali rodzinie Koropeczkich za ich dobre serce i ludzkie uczucie, zanosili modły do Boga w ich intencji i przyrzekli nigdy nie zapomnieć o ich poświęceniu i dobroci. Koropeccy rzeczywiście zasłużyli na medal „R.G.”.

***Pewnego wieczoru, kiedy Żydzi, którymi opiekował się Dwojak, byli w domu, powiedział im, że we wsi mówi się o wielkiej akcji łapanek w lesie, którą Niemcy organizują. Gestapo i Ukraińcy będą szli od drzewa do drzewa, będą kopać ziemię w poszukiwaniu schronów.***

***Przeżyli zimę 1943/44 tylko dzięki poświęceniu się Kazimierza Dwojaka.***

## KAZIMIERZ DWOJAK

Kazimierz Dwojak mieszkał w małej wiosce Boski, między Łokutkami a Oknianami. W pobliskim lesie ukrywała się grupa 8 Żydów, t.z. grupa Fleschera. Składała się z Mosze Feszera, jego brata Abrahama i 2 siostr Otziji i Estery, Velvi Zissera, Michała Somerfreinda, Dawida Feuera i Szlomy Knipła (Heńka). Grupa ta zbudowała schrony w miejscu niewidocznym z drogi, wewnątrz lasu, tak dobrze zamaskowane, że nie zostały odkryte przez cały czas, aż do wyzwolenia. Naturalnie sam schron nie wystarczał, bardzo ważnym problemem była żywność. Musiał być ktoś z zewnątrz, z którym grupa ta miała by kontakt codziennie z tych czy innych powodów. Takim łącznikiem stał się Kazimierz Dwojak. Zgodził się zrobić wszystko, żeby ukryć Żydów przed ich wrogami. Tak jak długo to było możliwe, ludzie z grupy wychodzili w nocy do domów gospodarzy, których znali i prosili ich o ziemniaki, fasolę...Część gospodarzy dawała chętnie, niechętnie dawali ci, których Żydzi nie znali. W tej okolicy ludzie podający się za partyzantów żądali żywności dla „magazynu partyzanckiego”, który partyzanci kazali im organizować. Gospodarze bardzo się bali partyzantów i oddawali żywność bez oporu.

W nocy kobiety paliły ogniska z dala od schronów i gotowały posiłki dla wszystkich. Grupa chodziła po lesie licznymi dróż-

kami i łatwo było się ukryć. Kiedy jednak spadł śnieg, nikt nie mógł opuścić schronu. Ludzie wychodzili w nocy, kiedy padał śnieg, tak żeby w ciągu dnia nie było widać śladów stóp. Ale nawet wtedy wychodzili tylko pojedynczo. Ale był Dwojak zawsze gotowy do pomocy i dzięki niemu udało się grupie przeżyć zimę 1942/43.

Chłopi wiedzieli, że w lesie ukrywają się Żydzi. Od czasu do czasu spotykali ich przechodzących obok, ale nie wiedzieli ile jest tam Żydów i którzy są z nich partyzantami, a tych się bali. Policja ukraińska i niemiecka często patrolowała las szukając ukrywających się Żydów. Wiadomości o Żydach otrzymywali od chłopów, wtedy otaczali las nawet z artylerią. Żydzi, których szukali mogli być partyzantami. Ale ofiary wiedziały wcześniej, kiedy ma być łapanka i opuszczaly teren zagrożony. Ta grupa była ostrzegana przez Dwojaka i była zawsze poza zasięgiem broni swoich prześladowców.

Pewnego wieczoru, kiedy Żydzi, którymi opiekował się Dwojak byli w domu, powiedział im, że we wsi mówi się o wielkiej akcji łapanek w lesie, którą Niemcy organizują. Gestapo i Ukraińcy będą szli od drzewa do drzewa, będą kopać ziemię w poszukiwaniu schronów. Grupa postanowiła opuścić schron w lesie i przejść do zapasowego schronu, który zbudowali głęboko w lesie. Żeby osiągnąć wrażenie, zostawili ognisko koło schronu w lesie, pozostawili trochę rzeczy obok, chcieli przekonać szukających, że nie ma potrzeby szukać dalej, tylko otoczyć schron i czekać, aż mieszkający do niego powrócą. Pomysł się udał, paliło się całą noc, również rzeczy tam zostawione. Potem poszli do schronu zapasowego w całkiem innej części lasu. Łapanka zaczęła się następnego dnia. Liczne dobrze uzbrojone oddziały weszły do lasu przeszukując go dokładnie. Wkrótce znaleziono resztki spalonego i zakrytego schronu. Głośno wzywali ukrywających się do wyjścia, w przeciwnym razie wrzucą granaty do schronu. Gestapo zapewniało „złapanych Żydów”, że jeżeli wyjdą, nie zostaną zabici. Ponieważ nie było odpowiedzi, wrzucano granaty do schronu i silnie ostrzelano schron. Szmaty zostawione przez Żydów zapaliły się i ukazał się czarny dym u wejścia do schronu. Kiedy wszystko zamieniło się w popiół, Niemcy i Ukraińcy byli pewni, że wszyscy Żydzi w schronie są nieżywi. Odeszli i było to nieważne, że żywych partyzantów nie złapali. Tak to było wtedy w lesie.

W dwa dni potem odwiedzili Żydzi Dwojaka. Umknęli pewnej śmierci, ale teraz musieli zwalczać innego wroga: temperaturę. Zaczęły się jesienne deszcze. Nawet udanie się do wsi po żywność teraz stawało się problemem. Przeżyli zimę 1943/44 tylko dzięki poświęceniu się Kazimierza Dwojaka. W marcu 1944 r. Czerwona Armia przerwała front i zbliżyła się do lasu. Ukrywanie się w lesie stało się teraz niemożliwe. Lasy były pełne Niemców, którzy walczyli i odgłosy strzałów nie milkły. Tam, gdzie był schron zapasowy była teraz droga wycofujących się Niemców i musieli go opuścić. Grupa Żydów schowała się na terenie wojsk walczących. Szybko nawiązała kontakt z K. Dwojakiem na kilka dni jeszcze przed wyzwoleniem. Wdzięczni Żydzi zgotowali mu serdeczne pożegnanie i udali się do Czerniowiec (Bukowina). To co opisałem, opowiedział mi sam Mosze Flescher, w tej chwili już nie żyje.

Kazimierz Dwojak napewno zasługuje na honorowe miejsce odznaczonych medalem „R.G.” i ja uważam za święty obowiązek włączyć tę historię do opowiadań w tej książce.



## Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

# Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy ciąg dalszy

### Ulica Pierackiego i jej przecznice

Ks. LESŁAW JEŻOWSKI

Ulica Nadoroźniańska podążała na zachód w kierunku wsi Nadoroźna. Po zamordowaniu w 1935 r. w Warszawie ministra Bronisława Pierackiego ulica ta otrzymała jego nazwę.

W początku lat trzydziestych pierwszą kamienicą po prawej stronie była ta, która należała do p. Krawczykowej. Ale kilka lat przed wojną, bliżej ulicy Słowackiego, notariusz Pollo zbudował jednopiętrowy nowoczesnie wyglądający dom i właśnie on stał się pierwszym budynkiem przy ulcy Pierackiego. Mieszkał w nim sam właściciel i lokatorzy. Pollo, szczupły brunet o trochę zniekształconej dolnej szczęce, szybkim, nerwowym krokiem chodził po ulicach tłumackich, załatwiając swoje sprawy w urzędach. A w nich liczono się z nim ewidentnie, wiedząc o jego powiązaniach z władzami wojewódzkimi lub nawet ministerialnymi, czy też suponując je tylko. Pollo udzielał się społecznie i należał do stowarzyszeń popierających tzw. politykę sanacyjną. Nie przypominam sobie jego rodziny. Być może mieszkała ona w innym mieście.

W 1936 roku przebiegała w Polsce akcja zdobywania Państwowej Odznaki Sportowej. Objęto nią również urzędników państwowych. Na terenie tłumackim czynny był w niej p. Pollo. Dostępcie wyglądało, gdy starsi, podtatusiali panowie, nieraz z małymi brzuskami wykonywali na boisku rozmaite ćwiczenia cieleśne, biegi, skoki itp. Zdaje się, że społeczni inicjatorzy tej akcji rozpuszczali plotki o zwalnianiu z pracy, jako niesprawnych, tych pracowników, którzy P.O.S. nie zdobędą. Dlatego udział w zajęciach sportowych był liczny. Być może z akcją P.O.S. wiązały się ćwiczenia gimnastyczne podczas lekcji, które do gimnazjum wprowadzono wtedy. Polegały one na tym, że mniej więcej w połowie godziny lekcyjnej, na wezwanie nauczyciela wychodziliśmy z ławek i wykonywali kilka ćwiczeń cieleśnych, po czym wracaliśmy na swoje miejsca.

P. Pollo przed 1938 r. wyjechał z Tłumacza, być może — sprzedał swoją kamienicę, a funkcje miejscowego notariusza objął p. Grabowiecki. Do kamienicy Polla przeprowadziła się z ulicy Słowackiego p. Domaszewska. Często bywał w jej nowym mieszkaniu p. Wydrzyński, urzędnik z P.Z.U.W. Parter wspomnianego już domu p. Krawczykowej zajmował posterunek Policji Państwowej. Na piętrze znajdowało się mieszkanie komisarza Policji, którzy zmieniali się dosyć często. Bliższe stosunki towarzyskie moi Rodzice utrzymywali tylko z komisarzem Reszczyńskim, który wraz ze swoją żoną bywał u nas w domu. Obydwoje byli ludźmi kulturalnymi, czytany i interesującymi się życiem literackim i teatralnym. Pobyt w małym miasteczku, dosyć jałowym kulturalnie, musiał być dla pp. Reszczyńskich uciążliwy. Toteż wnet uzyskali przeniesienie do dużego miasta. O ile się nie mylę, do Warszawy. Ponieważ wypożyczałem książki z domowej biblioteki p. Reszczyńskiej, która pochwałała moje zamiłowania czytelnicze, podczas wizyty pożegnalnej u Rodziców ofiarowała mi komplet dzieł Zygmunta Kaczkowskiego.

Jeden komisarz był kawalerem. Nie pamiętam jego nazwiska. Zaproszony przez Ojca przyszedł do nas na wieczerzę wigilijną.

Gdy modliliśmy się przed nią wspólnie, wzruszył się do łez, co mnie bardzo uderzyło. Dłużej komisarzem policji był w Tłumaczu p. Gleitz, czy też Głajc, nie wiem jak się podpisywał. Jeden z nielicznych w tym mieście protestantów. Być może jego wyznaczenie utrudniało mu nawiązanie ściślejszych kontaktów z miejscową sferą urzędniczą. Miał rudawe włosy i także przystryżone pod nosem wąsy. Jego pasierbem był Adam Swornowski, przyjemny blondyn, który chodził do gimnazjum wyżej ode mnie. Gleitzowie mieszkali w parterowym domu koło stacji kolejowej, należącym do administratora majątku p. Dolajsovej.

Posterunek policji posiadał własną bibliotekę, którą opiekował się p. Humeńczuk, przodownik. Chętnie wypożyczał mi z niej książki. Dzięki temu byłem częstym gościem na policji i znałem wszystkich posterunkowych. Jeden z nich, stanisławowianin, amatorsko zajmował się radiotechniką. Przy jego pomocy skonstruowałem sobie odbiornik kryształkowy na słuchawki. Gdy przyjechaliśmy do Tłumacza, pomagał nam w zagospodarowaniu się inny posterunkowy, Zamojski. On też czuwał nad naszym mieszkaniem, gdy wyjeżdżaliśmy na wakacje. Z p. Sędziwym, o którym była już mowa, miałem najmniej styczności. W mieszkaniu p. Krawczakowej, wdowy po notariuszu nigdy nie byłem. Ją samą najczęściej widywałem w kościele. Prawie codziennie wraz z p. Dolajsową uczestniczyła w Mszy św. Ubierała się z lekka staromodnie w ciemne odzienie.

Nie przypominam sobie członków jej rodziny. Mąż w latach trzydziestych już nie żył, dzieci musiały mieszkać poza Tłumaczem. O ile się nie mylę, córka przyjeżdżała do matki na święta. Poddaszowy pokój od podwórza Krawczykowa wynajmowała uczniom gimnazjalnym. Bywałem w nim, odwiedzając swoich kolegów. Spomiędzy nich najchętniej Kazimierza Sucheckiego. Pochodził z Komarówki w powiecie buczackim, z rodziny rolniczej. Był kilka lat starszy ode mnie i początkowo chodził do wyższej klasy, ale raz czy dwa powtarzając ją, zrównał się ze mną. Zdaje się, że wcześniej mieszkał na stacji u kogoś innego do czasu, gdy p. Krawczakowa widząc go pobożnie modlącego się codziennie w kościele i poznawszy jego trudne warunki materialne, zaofiarowała mu bezpłatny pobyt u siebie. Oprócz Sucheckiego, ale już odpłatnie i dłużej korzystali z tej stacji również dwaj bracia Berezowscy, synowie nauczycielki w powiecie tłumackim.

Dosyć krótko przebywał w niej Koladżyn, syn notariusza, prawdopodobnie z Sądowej Wiszni lub Mościsk. Ojciec musiał mieć niemałe kłopoty ze swoim potomkiem, który zupełnie nie palił się do nauki, bo dosyć często wynajdował mu nowe gimnazja i nowe stancje. Koladżyna-seniora zapamiętałem dzięki oryginalności jego nazwiska i zapachowi dojrzałych owoców wiśni, którym zalatywał. Nikt ze znanych mi osób nie używał wody kolońskiej czy perfum o takim aromacie. Pan ten raz lub dwa był u nas na obiedzie zaproszony przez mego Ojca, u którego jako prezesa koła rodzicielskiego, być może szukał poparcia. Koladżyn-junior i w Tłumaczu miejsca zbyt długo nie zagrzał.

Za kamienicą Krawczykowej stało kilka domów parterowych otoczonych ogródkami i odgrodzonych od ulicy płotem. Pierwszy z nich należał do Ajdukiewiczów. Pojęcia nie mam, czy byli oni spokrewnieni z malarzem lub filozofem noszącymi to samo, raczej rzadkie u nas nazwisko. Nie pamiętam też zawodu i wyglądu obojga państwa. Natomiast w żywej pamięci zachowałem ich syna. Był studentem jakiejś wyższej uczelni we Lwowie i do rodziców przejeżdżał podczas wakacji, ferii i świąt. Średniego wzrostu, przystojny szatyn z małym wąsikiem, dobrze ubrany nie pokazywał się na tłumackich ulicach. Widywało się go za to na koniu, gdy wyjeżdżał na podmiejskie tereny. Elegancko siedział w siodle, błyszczały jego cholewy, szpiruta trzymana w ręce bywała od czasu do czasu w użyciu. Głowę jeźdźca przykrywała akademicka czapka lub gustowny kaszkiet. Młody Ajdukiewicz jako jedyny zażywał w Tłumaczu konnej jazdy wierzchem, toteż łatwo go zapamiętałem. Napewno lepiej ode mnie czyniły to tłumackie panny, którym młodzian o pańskim wyglądzie wydawał się chyba nieosiągalnym księciem z bajki lub ordynatem Michorowskim z „Trędowatej” Mniszkówny. Ale jego żadna tłumaczka nie interesowała.

Sąsiadami Ajdukiewiczów byli pp. Skowrońscy. Rodzinę tworzyli kapitan W.P., jego żona, nauczycielka szkoły powszechnej, syn Stanisław, młodszy ode mnie uczeń gimnazjum oraz Roman Stupnicki, syn pani Skowrońskiej z pierwszego małżeństwa. W Tłumaczu nie stacjonowała żadna jednostka W.P., a kpt. Skowroński zajmował się Związkiem Strzeleckim w mieście i w powiecie, przysposobieniem wojskowym młodzieży gimnazjalnej itp. Średniego wzrostu, dosyć szczupły, ciemny blondyn z małym wąsem posiadał żołnierskie maniery, niezbyt poprawny język, trochę ordynarnych wyrazów i porównań nie oszczędzał sobie nawet wobec młodzieży. Widziało się go na obchodach państwowych, defiladach, stojącego na trybunie. Zawsze chodził w mundurze. Przy końcu lat trzydziestych miejsce Skowrońskiego zajął inny kapitan, sympatyczny brunet, Wilczyński.

P. Skowrońska oprócz pracy zawodowej udzielała się społecznie, należała do kilku organizacji kobiecych, była też członkinią Sokoła. Jasna blondynka o średniej tuszy miała kłopoty ze swoim młodszym synem, nazwanym powszechnie Siachem, którego męczyła i odstręczała nauka szkolna, a pociągały tzw. sprawy zakazane. O wiele starszy od Siacha Roman, chociaż ojca miał Rusina, jeżeli sobie dobrze przypominam — nawet księdza grecko-katolickiego, za wzorem matki był zdecydowanym polskim patriotą. Po maturze nie poszedł na wyższe studia, nie pracował zawodowo i pozostawał, dorosły mężczyzna, na utrzymaniu rodziców. Być może przyczyną tego była jego niecałkowita normalność psychiczna. Przynajmniej takie słyszało się głosy. Że nie normalnie wyglądał fizycznie, samo rzuciło się w oczy. Bardzo wysoki, bardzo otyły poruszał się wolno i ociężale, opierając się rzeczywiście, a nie pozornie tylko dla szyku, jak inni wspomniani tutaj, na lasce.

W następnym domu mieszkali Jampolerowie. Samuel Jampoler prowadził kancelarię adwokacką, zdaje się był doktorem praw. Łysawy, średniego wzrostu, nieurodzisty, bez potrzeby nosząc laskę zmierzał codziennie do swojej kancelarii, która mieściła się gdzieś bliżej rynku. W Tłumaczu nie miał sposobności wykazania swojej prawniczej wiedzy i obrończych umiejętności, bo przed miejscowym Sądem toczyły się prawie wyłącznie sprawy dotyczące sporów o własność ziemską chłopów z okolicznych wsi, bądź drobnych przestępstw. Toteż p. Jampoler własnym sumtem wydawał broszury drukowane u Winterfelda, w których zajmował się poważniejszymi zagadnieniami z dziedziny wymiaru sprawiedliwości. Tytuł jednej z nich

brzmiał: „Pogadanki z sędzią śledczym”. Czytałem ją, ale nie wzbudziła ona we mnie zachwyty. Napisana językiem niezbyt wyrobionym nie zawierała jakichś oryginalnych myśli autora, lecz stanowiła zlepek poglądów przeważnie niemieckich prawników. P. Jampoler umiał nadawać innym swoim pracom interesujące tytuły, np. „Ja tego nie rozumiem”, „Opamiętajcie się panowie”, „Ośmielam się zauważyć”. O żonie adwokata i jego dwóch synach napisałem już, zatrzymując się na ulicy Słowackiego przy domu Blochowej. Ale może jeszcze nie zaszkodzi dodać, że p. Jampolerowa najbardziej była zaprzyjaźniona spośród pań tłumackich z p. Gelehrterową, żoną lekarza. Z nią też jeździła do p. Posseltowej w Pałahiczach na rozmaite towarzyskie spotkania w mieszanym towarzystwie. Obydwie wyróżniały się dobrym smakiem w doborianiu swojego ubioru i światowym polorem. Młodszy syn Jampolerów, Karol, był moim klasowym kolegą. Odznaczał się bystrą inteligencją i obyciem. Po matce odziedziczył duże, jasno-niebieskie oczy, a po kimś gęste, kręjące włosy ciemnoblond. Z ich powodu koledzy przezywali go — Buszmen. W niższych klasach gimnazjalnych przyjaźniłem się z Lolkim, bywał u mnie w domu. Ale później staliśmy się sobie dalecy. Zniechęciłem się do niego, gdy zaczął głosić lewicowe poglądy społeczno-polityczne, występować przeciw Kościołowi i chrześcijańskim zasadom moralnym. Gdy w ósmej klasie ks. Witkowski uczył nas propedeutyki filozofii, Jampoler wykorzystywał każdą sposobność, aby podważyć tezy księdza, stawiał mu różne trudne pytania, starał się go „zagiać”, chociaż nigdy się mu to nie udało. To wszystko zraziło mnie do dawnego bliskiego kolegi. Obydwaj byliśmy dobrymi polonistami, najlepszymi w klasie. Z tego powodu tylko my dwaj zostaliśmy wyznaczeni przez prof. Skibniewską do wzięcia udziału w ogólnopolskim pisemnym konkursie polonistycznym. Gdy na lekcjach ja zawsze wydobywałem z naszej literatury znamiona narodowo-katolickie, Lolek wyszukiwał w niej nurty kosmopolityczne, antyreligijne. P. Skibniewska musiała dobrze orientować się w naszych poglądach i zainteresowaniach, bo gdy na lekcjach polskiego na głos czytaliśmy „Nieboską komedię” Zygmunta Krasieńskiego, Lolek wygłaszał tekst Pankracego, a ja Hrabiego. Ostatnim terenem zademonstrowania naszych odmiennych stanowisk był przedmaturalny spór klasowy o wybór fotografa dla sporządzenia abiturienckiego tableau, o którym już pisałem. Jampoler aktywizował grupę żydowsko-ruską, ja przewodziłem polskiej.

Za Jampolerami mieszkał p. Moyseowicz, lekarz weterynarii, który posiadał drugi, obok starościńskiego, a właściwie powiatowego, samochód w Tłumaczu. Była to mała Tatra, którą jeździł do swojego majątku ziemskiego i wykorzystywał ją przy swoich zajęciach służbowych w powiecie. P. Moyseowicz miał wygląd rasowego Ormianina. Czarnowłosy, z takimże przystrzyżonym wąsem, długim nosem, mięsistymi wargami. Niskiego wzrostu. Po Moyseowiczu jego stanowisko i mieszkanie przejął p. Bojczuk. Nie używał nigdy nakrycia głowy. Latem i zimą. Najwyżej przy silnych mrozach wyżej podciągał futrzany kołnierz swego wierzchniego okrycia. Dwoje jego dzieci chodziło do szkoły powszechnej.

Za wspomnianym domem sukcesywnie wynajmowanym przez tłumackich lekarzy weterynarii rozpoczynała się boczna ulica, chyba Kolejowa, która na prawo doprowadzała do dworca kolejowego. Nie pamiętam, czy stały przy niej jakieś domy. Jeżeli nie, to tutaj musiały od ulicy Słowackiego dochodzić ogrody p. Howorkowej. Chodnik był tylko po prawej stronie. Nim szybko dochodziło się do stacji. Budynek posiadał jedno piętro, w którym mieszkał naczelnik i maszynista. Gdy przyjechałem do Tłumacza, zawiadywał stacją p. Demiańczuk, szczer-

ply, wysoki mężczyzna. O ile on był spokojnego usposobienia, zainteresowany swoją pracą zawodową, o tyle jego żona, głośna, gadatliwa wszędzie dawała o sobie znać. Należała do różnych organizacji. Często bywała w gimnazjum w związku ze swoim synem Zbigniewem, uczęszczającym ze mną do jednej klasy. Pod koniec lat trzydziestych Demiańczukowie opuścili Tłumacz, a dworzec kolejowy przejął inny zawiadowca, którego nie zapamiętałem. Pamiętam jednak maszynistę, p. Zasławskiego, wysokiego, znacznej tuszy, który nieodmiennie dowodził małą, staromodną lokomotywą lokalnego pociągu z Tłumacza do Pałahicz, a z upływem czasu i do Stanisławowa.

Rano tłumacka „lokalka” wyruszyła w drogę między 6 a 7 godz. Drugi raz około południa, a trzeci po południu o 16,05. Tak informował rozkład jazdy. W praktyce dochodziło do pewnych opóźnień. Odległość między Tłumaczem a Pałahiczami, około 8 km, pociąg pokonywał w ciągu prawie pół godziny. Do tego żółtego tempa przyczyniały się falistość terenu, słabe tory i bardzo ograniczona wydolność parowozu. Jeżeli p. Zasławski wyjechał później niż należało, w drodze nadrabiał utracony czas. Bywało, że opóźnienie powodował telefon do zawiadowcy od jakiegoś tłumackiego prominenta, który sam, lub jego goście nie mogli zdążyć na wyznaczoną godzinę odjazdu pociągu, złasz-

cza tę popołudniową, tak przynajmniej utrzymywali złośliwcy.

Zaraz za dworcem w kierunku Pałahicz zaczynało się wzniesienie ciągnące się niemal do stawu. Za ledwie więc lokomotywa, ze zgrzytem na zwrotnicy, opuściła poziom stacyjny, zaczynała głośno sapać, aby mozolnie wyciągnąć na górkę doczepiane do niej dwa wagony. Ponaglona ręką maszynisty para obficie buchała w górę, czernił się dym z komina. Ale gdy lokalka wracała z Pałahicz, zjazd ze wspomnianego wzniesienia dodawał jej szybkości i z rozpędem, gwizdząc ostrzegawczo wyjeżdżała na stację. Nam, stojącym przy torach w oczekiwaniu na powrót bliskich, wydawało się, że przynosi echa z dalekiego świata, tak odległego od Tłumacza, a przynajmniej ze Stanisławowa, a może i Lwowa. Na parterze budynku dworcowego o trzech oknach frontowych mieściła się poczekalnia i kasa biletowa, od ulicy natomiast biuro zawiadowcy i jakiś magazyn. Obok stacji widniały pomieszczenia składowe, a naprzeciw nich parterowy, murowany dom z wewnętrzną loggią przy jego kraju, w którym mieszkał p. Szmida, zarządca majątku Dolaisów. Jak wielu ze znaczących osób tłumaczan i on miał wasy. Średniego wzrostu i tuszy, porządnie ubrany, robił wrażenie solidnego urzędnika. Jego rodziny nie pamiętam. U p. Szmida mieszkał przypomniany już komisarz policji Gleitz. c.d.n.

## Akademickie Koło Tłumaczan

MARIA MOLISAK-OSSOWSKA

Akademickie Koło Tłumaczan zawiązaliśmy w r. ak. 1921/22, kiedy w przerwie semestralnej zjechaliśmy do domów. Abiturientów naszego gimnazjum studiujących na Uniwersytecie J.K. oraz Politechnice we Lwowie a mieszkających stale w Tłumaczu było jeszcze wtedy niewiele.

A oto pierwsi członkowie Koła:

Adolf Kłodnicki	— Politechnika Lw., Wydz. Chemii,
Włodzimierz Klimkiewicz	— UJK, Wydz. Prawa,
Antonina Macalska	— UJK, Wydz. Lekarski,
Maria Molisakówna	— UJK, Wydz. Humanistyczny,
Anna Pałkówna	— UJK, Wydz. Lekarski,
Mieczysław Piotrowicz	— UJK, Wydz. Lekarski,
i Ludwik Szankowski	— UJK, Akademia Medycyny Weterynaryjnej,
Marian Szankowski	— UJK, Wydz. Lekarski, Oddz. Farmacja

był abiturientem innego gimnazjum.

Zaraz w następnym roku wszedł do Koła Marian Dubicki — student med., Józef Jaworski — student prawa, a potem Zygmunt Deyczakowski, Jan Wąsowicz, Kazimierz Kasparek.

Pierwszym prezesem był Włodzimierz Klimkiewicz, następnym Witosław Ossowski, abiturient gimnazjum sanockiego, student leśnictwa, zamieszkały wówczas w Tłumaczu.

Bardzo ożywiona była działalność naszego Koła na przestrzeni lat 1921/22 — 1924/25. Składały się na nią przedstawienia teatralne, zabawy taneczne, zebrania towarzyskie, wycieczki. Po przyjeździe na ferie zimowe czy letnie już w następnym dniu zbieraliśmy się celem ułożenia programu. Zebrania odbywały się w jednej z klas szkolnych, którą Ojciec mój oddawał nam

zawsze do dyspozycji na godziny popołudniowe i wieczorne. Pierwszą czynnością było wybranie sztuki teatralnej oraz ustalenie terminu zabawy tanecznej.

Sztuk teatralnych daliśmy wiele, ale zapamiętałam za ledwie kilka tytułów: Zbierchowskiego „Małżeństwo Loli”, Grzymały Siedleckiego „Sublokatorka”, Wyspiańskiego „Sędziowie”. Poza tym graliśmy jakąś rzecz Bałuckiego, Perzyńskiego, Marka Twaina, Fredry, ale tytuły tych sztuk nie utrwaliły mi się w pamięci. Po ustaleniu obsady przystępowaliśmy do prób czytanych, a po opanowaniu ról przenosiliśmy się na scenę „w Sokole”. Reżyserowanie sztuk mnie przypadało w udziale.

Dla udekorowania sceny odmeblowywaliśmy zawsze nasz dom. Zabieraliśmy krzesła, stojaki na kwiaty, wazony, ze ścian kilimy, z łózek kapy. Każdy chwycił jeden przedmiot i dla zareklamowania przedstawienia paradowaliśmy gęsiego przez miasto od szkoły do Sokoła. Ogromnie stremowani byliśmy w dzień przedstawienia, czy publiczność dopisze. Przez szpary w kurtynie stale ktoś zaglądał i zaraz meldował. — O przyszli Deyczakowscy, przyszli Kłodniccy, nadchodzi Wencłowa z córką itp. itp. — Ku wielkiej naszej radości graliśmy zawsze przy pełnej widowni. Upojeni sukcesami postanowiliśmy wyruszyć poza Tłumacz. Wybór padł na Niżniów. Pojechaliśmy tam pewnej niedzieli ze sztuką Zbierchowskiego „Małżeństwo Loli”. Tej artystycznej eskapady nigdy nie zapomnę. Na drogę zaprowiantowaliśmy się wspólnie, więc zaraz po przyjeździe rozłożyliśmy prowiant, aby posilić się przed przedstawieniem. Oczywiście koledzy wyjęli z zanadru flaszeczki i mimo moich i Hanki Pałkówny próśb i perswazji, żeby zakropienie zostawić po przedstawieniu, solidnie się uraczyli, co nie pozostało bez wpływu na przebieg widowiska. Odbiło to się już na samej charakterystyce. Nusiek Dubicki pomalował sobie koniec nosa

na czerwono. Lulek Szankowski przykleił wąż z jednej strony ku dołowi, z drugiej zakręcony do góry, a Lunek Szankowski wypchał brzuch do niemożliwych wprost rozmiarów. No a w samej grze tak potwornie szarżowali i improwizowali, że nauczyciel Misiecki, nasz etatowy sufler w budce swojej co chwila chwytał się za głowę, bezradnie rozkładał ręce, wreszcie schował tekst do kieszeni i zrezygnowany patrzył, co się na scenie dzieje. Ale widownia wypełniona po brzegi szalała wprost z ukontentowania. Po skończonym przedstawieniu niemilknące brawa i okrzyki: „Wiwat Tłumacz”, „Niech żyją Tłumaczanie”, a potem dwóch obywateli niżniowskich przyszło do nas za „kulisy” ze specjalnym podziękowaniem za przyjazd oraz prośbą, by i na przyszłość nie zapominać o Niżniowie.

Tu jeszcze wspomnę, że jeśli sztuka miała więcej ról kobiecych, byliśmy zmuszeni angażować panie spoza Koła. Należała do nich p. Waleria Teyerle-Sokołowska, p. Jampolerowa — żona adwokata oraz Żana Domaszewska — wówczas jeszcze uczennica gimnazjum.

I to byłoby wszystko, co o naszych wyczynach scenicznych zachowało się do dziś w mojej pamięci.

I jeszcze trochę wspomnień o zabawach tanecznych urządzanych przez nasze Koło. Odbywały się one w sali „Sokoła” i zależne od tego, co urządził „Sokół” był to albo Sylwester albo około 15 stycznia zabawa kamawałowa. W drukarni Winterfelda drukowało się możliwie najtańsze zaproszenia, a orkiestrę zamawialiśmy w Stanisławowie. Bufet był zawsze składkowy. Stróż „Sokoła” roznosił zaproszenia i równocześnie podawał zaproszonym listę, na której wpisywali się, co przyślą do bufetu. Były to torty, pączki, alkohol, papierosy i gotówka. Do gospodarowania bufetem prosiliśmy starsze panie. Zabawy nasze były zawsze z kotyliem i zazwyczaj dość pomysłowym, więc już na tydzień przed zabawą zbieraliśmy się wieczorami wszyscy i wycinali, kleili, lepili rozmaitości. W przeddzień „balu” dekoracja sali, a w sam dzień zabawy znowu ta sama treść, co przed przedstawieniem: czy goście dopiszą? Dopisywali zawsze. Zabawy zaczynały się polonezem, był także kadryl, obowiązkowo mazur i krakowiak, walce, polki i oczywiście modne już wówczas schimny. Hasało się do białego rana.

Przedstawienia teatralne oraz zabawy taneczne były to imprezy dochodowe. Zebrane z tych imprez pieniądze pozwoliły na utworzenie Komitetu Stypendialnego. Przyszło nam tu z pomocą kilka osób z tłumackiej inteligencji, które dobrowolnie opodatkowały się na ten cel dwuzłotowymi składkami miesięcznymi. Stypendystą naszego Koła był Marian Dubicki — student medycyny, syn wdowy utrzymującej się z tak zwanej „stancji”. Nie pamiętam tylko, jaka była wysokość wypłacanego stypendium.

Prócz wymienionych imprez, w których wyżywaliśmy się, prowadziliśmy bardzo ożywione życie towarzyskie: składkowe zabawy przy gramofonie, wycieczki żydowską ślepą szkapą nad Dniestr, pieczenie ziemniaków we wrześniu nad stawem i.t.p., i.t.p. Bardzo za sobą zaprzyjaźnieni miło i wesoło spędzaliśmy czas wolny od nauki.

W latach 1924 i 1925 pierwsi członkowie Koła pokończyli studia, opuścili Tłumacz, czy Koło nadal istniało i jakie były jego dalsze losy, tego nie wiem.

## Szkic do historii I męskiej drużyny harcerskiej im. ks. Józefa Poniatowskiego w Tłumaczu

MICHAŁ NIKOSIEWICZ

### Wstęp

II wojna światowa dostarczyła Narodowi Polskiemu bardzo wiele bolesnych doświadczeń, a między innymi skutek zmian granic Państwa, wiele setek tysięcy rodzin polskich musiało się przesiedlić ze stron ojczytych województw wschodnich II RP. Ci, którzy przeżyli, do dzisiaj, ciągle żywią głęboki sentyment dla stron rodzinnych: organizują zjazdy, spotkania, wspominając przeżycia przeszłości na ławie szkolnej, w organizacjach takich jak harcerstwo, „Sokół”, drużyny sportowe, itp.

W środowisku byłych, już nielicznych harcerzy z drużyn męskich i żeńskich w Tłumaczu (woj. stanisławskie) podjęty został zamiar napisania historii tłumackiego harcerstwa od roku 1912 do 1939. W dniu 17.IX.1939 r., kiedy wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski, przedstawiciele „nowej władzy” natychmiast zamknęli dostęp do „Harcówki”, która mieściła się w budynku „Sokoła”. Wypożyczenie drużyny harcerskiej (namioty, sprzęt obozowy, biblioteka, „kronika drużyny”, albumy fotograficzne... przepadło. Obecnie, po upływie tylu lat trudno będzie zrealizować powyższe zamierzenie, ale postanowiono mimo wszystkich trudności w zdobyciu materiałów, wykorzystać co jeszcze jest dostępne, by odtworzyć dzieje harcerstwa na terenie TŁUMACZA i przekazać potomnym.

Harcerstwo w Tłumaczu zasługuje w pełni na zachowanie w pamięci, gdyż dobrze zasłużyło się w Polsce i nigdy nie zawiodło społeczeństwa polskiego na Kresach.

### Warszawa lipiec 1990

Drużyna skautowa została założona w Tłumaczu w 1912 r. Nie jest znana dokładna data. Drużyna została założona podobnie jak w całej b. Galicji (Austro-Węgry), przez Tow. Gimnastyczne „Sokół”, którego gniazdo zostało zorganizowane w Tłumaczu już w roku 1896. Utworzeniem drużyny skautowej, na wzór wcześniej już powstałych we Lwowie, zajęli się: prezes Sokoła dh. Wandalin Collona Walewski i druhowie Marceli Molisak i Józef Hrapkiewicz, nauczyciele szkoły ludowej. Pierwszym drużynowym był Juliusz Słonecki, b. oficer zawodowej Armii Austro-Węgr., urzędnik Wydziału Powiatowego w Tłumaczu. W tym czasie było w Tłumaczu c.k. gimnazjum założone w roku 1910. W roku założenia drużyny skautowej w Gimnazjum była już od jesieni 1912 r. klasa III. Ponieważ do klasy



Roman Daca,  
Kazimierz Biliński,  
M. Kasperski,  
St. Prośba

Rok szkolny 1919/20, I pluton drużyny Skautowej uczniów gimn. w Tłumaczu; opiekun drużyny prof. Jan Leśniak, dowódca plutonu – Roman Molisak oraz Wasowicz, Moszyński, Waligóra, M. Dubicki, Zdanowicz, A. Tuzinkiewicz, E. Jaworski, ?, vel Skibiński, A. Gawenda, F. Kraus, L. Linscheid, St. Sokolowski, St. Wolnik, Strusiewicz, T. Rolewicz, Kopytyński, F. Gawenda, F. Kraus, K. Kraus, R. Kurczab

I przyjmowano w 1910 r. młodzież również trochę starszą, więc w klasie III w 1912 byli już chłopcy mający 13-15 lat. Drużynę zorganizowano z tej młodzieży narodowości polskiej.

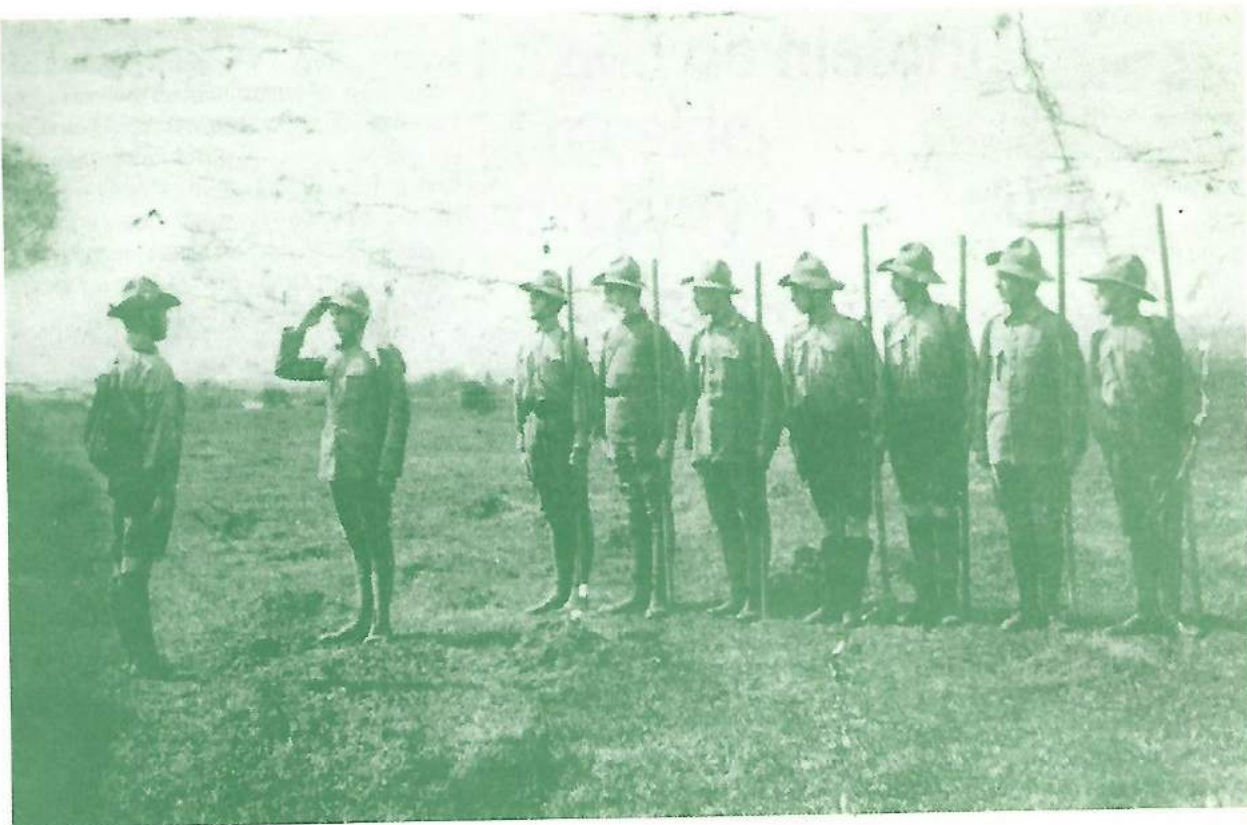
W swych wspomnieniach spisanych po II wojnie śp. b. uczeń c.k. Gimnazjum w Tłumaczu Włodzimierz Klimkiewicz — podaje, że w roku 1912 będąc uczniem III klasy gimnazjum był przybocznym tej drużyny. Opisał kilkudniową wycieczkę wakacyjną w góry (Czarnohora?) prawdopodobnie w roku 1913, w której pod dowództwem drużynowego J. Słoneckiego brało udział kilkunastu skautów. Teodor Starościak, b. uczeń gimn. w Tłumaczu opisuje ćwiczenia połowe drużyny skautowej przeprowadzone wspólnie z druhami z Tow. „Sokół” z Tłumacza i Stanisławowa.

W roku szkolnym 1913/14 grono nauczycieli gimnazjum w Tłumaczu powiększa się, są już cztery klasy. Przyjeżdża nauczyciel gimnazjalny Jan Leśniak (ur. 1886) od wielu lat należący do Tow. „Sokół”. On przejmuje prowadzenie drużyny na terenie gimnazjum. W tym okresie do drużyny w Tłumaczu należeli prawdopodobnie tylko uczniowie c.k. gimnazjum. Nie wiadomo co spowodowało zmianę na stanowisko drużynowego. J. Słonecki (podobno) w 1914 roku wstąpił do Legionów i od tego czasu w Tłumaczu już się nie pojawił. Z tego okresu tworzenia się drużyny niewiele śladów pozostało. Zdjęcie 1 (od Wojdyło-Wajdowej) przedstawia zastęp skautów — ośmiu — zastępowy składa raport drużynowemu, skauci ubrani niejednolicie, bluzki, koszulki, swetry, spodnie krótkie do kolan albo do owijaczy, wzgl. pończoch, nie wszyscy mają pasy, jednolite jest tylko nakrycie głowy: kapelusz filcowy. Jest to z pewnością jedno z pierwszych — jeżeli nie pierwsze — zdjęcie „skautów” w Tłumaczu.

Drugie zdjęcie, które zachowało się do roku 1939 przedstawiało na tle lasu dużą grupę skautów (około 30) umundurowanych jednolicie w kapeluszach z laskami, z drużynowym prof. J. Leśniakiem i prof. Feliksem Czerwińskim. Zdjęcie wykonane na jesieni 1913 lub wiosną 1914 roku. Na zdjęciu pierwszym — niestety — nie rozpoznano dotychczas nikogo. Możliwe, że odbierający raport to drużynowy dh. Juliusz Słonecki. Wśród skautów są zapewne wymienieni przez Włodzimierza Klimkiewicza we „Wspomnieniach”: on sam, Ludwik Szankowski, Adolf Kłodnicki, Franciszek Kłodnicki, Marian Dolais, Marian Dubicki, Henryk Biedroński, Alfered Jan Delong, Józef Jaworski, Stanisław Jedliński, Stanisław Kurczab, Mieczysław Lityński, Alojzy Nunberg, Roman Molisak, Kazimierz i Jan Piątkowscy, Mieczysław Piotrowicz, Karol Sokołowski, Tadeusz Wencel, Tadeusz i Bronisław Zdanowiczowie, Teodor Starościak. Który z wymienionych jest na zdjęciu trudno dzisiaj ustalić. Można przyjąć, że należeli do drużyny skautowej i inni uczniowie gimnazjum narodowości polskiej, którzy służyli w czasie wojny 1914-1918 w formacjach wojskowych i są wpisani w pierwszym „Sprawozdaniu Dyrekcji Gimnazjum w Tłumaczu”, które zostało wydrukowane w lecie w 1918 roku. Sprawozdanie za rok szkolny 1917/18 zawiera też krótką historię powstania gimnazjum w Tłumaczu.

W spisie byłych uczniów odbywających służbę wojskową są uczniowie Polacy, którzy mogli należeć przed wybuchem wojny do drużyny. Są to: Józef Bień, Tadeusz Gruszecki, Dionizy Jacorzyński, Tadeusz Jaroński, Wincenty i Władysław Kłonowscy, Marian Kopytko, Michał Kossowski, Stefan Kulczycki, Włodzimierz Kietniowski, Michał Lachowicz, Jarosław Łukasiewicz,

Rok  
1913/14?  
„Skauci”  
— uczniowie  
gimnazjum  
w Tłumaczu  
fot.  
ze zbioru  
E. Wojdyło-  
-Wajdowej



Aleksander Moszyński, Jarosław Niedzielski, Stanisław Nowotny, Jan i Kazimierz Osterowie, Stefan i Władysław Ostrowscy, Franciszek Petrus, Rudolf Podgórski, Zygmunt Rubinowski, Władysław Rużycki, Józef Komorowski, Jagusz-Sróbka, Antoni Szczepkowski, Stanisław Velze, Karol Wagała, Tadeusz Wyrostek, Bronisław Zakliński, Józef Zieliński.

Z okresu od założenia drużyny do 1.IX.1913 roku brak jakichkolwiek dokumentów, raportów, sprawozdań z życia drużyny. Pierwszy dokument-raport za czas od 1.IX.1913 do 1.V.1914 w Archiwum Akt Nowych w Warszawie znajduje się pod sygn. 1.ZHP. Ponieważ jest to pierwszy i jedyny raport drużyny w Tłumaczu przed I wojną, warto przetoczyć go w całości: „Drużyna skautowa im. kś. Józefa Poniatowskiego przy Pol. Tow. Gimnastycznym Sokół w Tłumaczu. Adres popierającego „Skaut”: Sokół. Gdzie odbywają się zebrania drużyny: w sali skautowej w Sokole i w Gimnazjum. Wykaz członków drużyny: 4 patrole z ilością 32, w tem 7 nowo przyjętych. Gimnastyka w tygodniu 2 godziny. Uczęszczają wszyscy, w sali Sokoła, prowadzi Jan Leśniak. Pogadanki i zebrania raz w tyg. 1,5 godz. Ilość obecnych: prawie wszyscy (32), ilość zebrań: raz w tygodniu, ilość obecnych: przeciętnie wszyscy. Umiejętności skautowe: stolarstwo: uprawia 6. Zebrania rodzicielskie i konferencje z delegatami szkoły: zależnie od potrzeb. Wyekwipowanie: kompletny strój skautowy posiada: 24, kompletne wyekwipowanie: 12. Ekwipunek drużyny: płótna namiotowe: 2, kociołek: 1, linka: 1, lasek: 14, lometka: 1, chorągiewki sygnalizacyjne: 4, latarka czerwona: 1, karabiny (małe): 4, apteczka polowa: 1. Biblioteka: E. Piasecki „Harce młodzieży polskiej”, Małkowski „Skauting jako system wychowawczy”, Baden-Powell „Skauting dla młodzieży” i kilka innych z zakresu fizycznego wychowania młodzieży, kartki skautowe. „Skaut” na całą drużynę: 1. Kasa: 8 koron, złożono na książeczce PKO w Tłumaczu, nadto składki. Kierownictwo: drużynowy Leśniak Jan, prof. gimn.,

pracuje w Sokole 5 lat, w Skaucie 2.5. Stanowisko w Sokole: zast. naczelnika i wydziałowego, odbył 2-letni kurs gimnastyki w roku 1906/7 w Krakowie i uzyskał patent nauczyciela gimnastyki, należy do Komendy S.D.S., przebywa w Tłumaczu od 1.IX.1913 r. Drużynę wspiera pieniężnie „Sokół”. Pieniądzy tych używa drużyna na zakup kapeluszy, koszulek, pasów i innych przyborów skautowych (tylko dla bardzo biednych). Odbywają się zebrania i pogadanki drużyny raz w tygodniu 1,5 godz. Tematem są teoretycznie wiadomości potrzebne dla skauta: i tak — czytanie z kart (map), sygnalizacja, rozkazy, ochrona zdrowia i inne wskazówki dla harcerzy. Nadto przerabiano zasady i tworzenie się języka międzynarodowego „esperanto”. Pogadanki odbywa drużynowy Jan Leśniak. Drużyna odbywa ćwiczenia polowe w miarę pogody w soboty lub w niedziele. Celem ich: wyćwiczenie w podchodzeniu, wnioskowaniu, patrolowaniu, orientowaniu się w terenie”. W „Skauście” wydawanym we Lwowie ukazały się dwie notatki, które można odnieść do drużyny skautowej w Tłumaczu: „Skaut” nr. 17-19, 15.VI-15.VII.1912. „Gościńce dla wycieczek skautowych ofiarowały dotychczas następujące dwory we wschodniej połaci kraju: w pow. tłumackim (Przybyłów pani Horodyńskiej)”. „Skaut” nr 8.-12.IV.1913. „Józef Krzysztofowicz (Lwów, Kleparów 10) prosi o adres drużyny tłumackiej”. Adres na ręce drużynowego: Juliusz Słonecki, Tłumacz”. Pierwsza notatka wskazuje na popularność ruchu skautowego w Galicji. Druga potwierdza, że do połowy roku 1913 drużynowym był J. Słonecki. We „Wspomnieniach” W. Klimkiewicza są opisy „życia” w drużynie począwszy od jej założenia. Oto kilka zdań przepisanych z tych „Wspomnień”: „W Tłumaczu dość szybko utworzono skauting — bo już w roku 1912. Założycielem pierwszej drużyny skautów pod zawołaniem „Orłów Białych” był Juliusz Słonecki. W tym czasie prezesem Sokoła był Wandalin Walewski, „szlagon” pochodzący z linii szambelana z Walewic Walewskiego. Dyre-

ktor gimnazjum, Grzegorzewicz oficjalnie nie poparł skautingu, lecz w życiu prywatnym — tak on, jak i inni profesorowie, zwłaszcza Polacy należący do Tow. Gimn. Sokół okazali skautom sympatię i pomoc. Drużyna liczyła 30 skautów w różnym wieku. J. Słonecki drużynowy i założyciel, służył w wojsku austr. jako oficer zaw. porucznik. Wystąpiwszy z wojska z powodu konfliktu... jawił się w Tłumaczu, gdzie marszałek powiatowy Szczepański zaoferował mu stanowisko referenta w Wydziale Powiatowym. Słonecki był wzrostu wysokiego, dla ukrycia łysiny golił głowę, kształtem czaszki i rysami twarzy przypominał Scypiona Afrykańskiego. Jako skautmistrz wykazał energię, zaradność i zmysł organizacyjny, rozmiłowany w łączących pieszych. Doskonale przysposabiał skautów do służby w polu. Starał się by poznali służbę patrolową.

Często prowadził ćwiczenia polowe połączone z długim marszem, uczył sypania szafców i urządzania stanowisk ogniowych. Latem w roku 1913 włączył drużynę do wielkich ćwiczeń polowych drużyn sokolich odbywających się w okolicach Stanisławowa. W kolei poprowadził drużynę w pasmo Gorganów (Karpaty). Marsz trwał tydzień w różnych warunkach atmosferycznych. Wszyscy wynieśli z wyprawy niezapomniane wrażenia no i dziurawe buciki. Musieliśmy sami naprawiać je ucząc się szewstwa u miejscowego mistrza Klimowskiego. Żaden z nas jednak nie ukończył tego kursu szewskiego... Słonecki prowadził drużynę dwa lata.

Zimą 1913 ustąpił z powodów bliżej nieznanych, wstąpił do „Strzelca” i z nim w roku 1914 wyruszył na wojnę. Drużynę objął prof. Jan Leśniak i prowadził ją do wybuchu wojny. Po wybuchu wojny z drużyny tłumackiej do Legionów wstąpił tylko Bronisław Wroński. Większość skautów w czasie wojny znalazła się w wojsku...”

Teodor Starościak, b. uczeń c.k. gimnazjum w Tłumaczu w latach 1911-1914 w swoich „wspomnieniach” z tych lat (spisanych w 1977) tak opisuje drużynę skautową w Tłumaczu z lat 1912-1914: „skauting nie miał niestety charakteru powszechnego, był raczej elitarnym, do którego należała raczej młodzież ze środowiska miejskiego i sfer zamożniejszych, odznaczająca się większą inicjatywą i zaradnością. Należenie połączone było z większym kosztem, gdyż poza składką, marzeniem każdego harcerza było posiadanie mundurka harcerskiego — na kupno którego nie każdego ucznia było stać. Dlatego stan drużyny był zawsze nieproporcjonalnie mały do ogólnej liczby Polaków-uczniów. Inicjatorami wspólnych ćwiczeń (ze Związkiem Strzeleckim) polowych, mających charakter wojskowy byli prof. Czerwiński i Leśniak”.

W. Klimkiewicz w swoich „wspomnieniach” opisuje dokładnie mundurek skautowy noszony wtedy (1912/14) w drużynie: „skauci nosili mundurki wzoru angielskiego, lecz w odmiennych kolorach. Kapelusze filcowe z kresą równą (płaską), główka stożkowata, u dołu wgnieciona w szałk kwadratu. Koszuła kroju sportowego, barwy szaro-zielonej, z naszywanymi kieszeniami po obu stronach i naramiennikami zapinanymi na guziki. Spodnie krótkie do kolan, uszyte z szarego sukna. Kolana obnażone, na nogach pończochy z szarej wełny. Okryciem wierzchnim była peleryna barwy szaro-zielonej. Chusty skaut nie nosił. Dystynkcje były przyszywane na lewym rękawie. W rękę nosił laskę 2-metr. długości. Służyła do wykonywania ćwiczeń gimnastycznych i paradnych, symbolizowała karabiń, a przy tym pomocna była przy ustawianiu namiotu... W czasie wojny 1914-1918 skauting polski zapadł w sen letargiczny, który trwał do czasu Odrodzenia Polski. Większość skautów znalazła się w szeregach różnych formacji wojskowych.”

c.d.n.

Rok szk. 1919/20,  
II pluton drużyny  
Skautowej  
uczniów gimn. tłumackiego  
prof. J. Leśniak,  
d-ca plut.  
Józef Jaworski,  
K. Kasperek,  
J. Malinowski,  
M. Wyrostek,  
F. Lacki,  
M. Nikosiewicz,  
Swiderski,  
E. Lindscheid,  
Zacharjasiewicz,  
L. Śniechowski,  
Orłowski,  
Jan Klimkiewicz,  
K. Mytnik, Eman.  
Pawłowicz,  
Z. Dubicki,  
St. Fischer,  
J. Wójcik,  
Malinowski,  
E. Witkowski,  
Brzezicki,  
St. Szabo,  
J. Wolnik,  
M. Rolewicz,  
Z. Agopsowicz,  
K. Biliński,  
K. Lohse,  
Hąraszkiewicz,  
Zdzisław Bloch



Zbiór wiadomości obejmuje okres od zakończenia I wojny światowej, aż do rozpoczęcia II wojny we wrześniu 1939

Źródłami do opracowania kroniki były:

- Dziennik Urzędowy woj. stanisławowskiego,
- Dziennik Urzędowy Kuratorium Lwowskiego,
- Sprawozdania Dyrekcji Gimnazjum w Tłumaczu,
- Sprawozdanie Prywatnego Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego za lata 1924-1934 w Tłumaczu,
- Dwutygodnik — Tygodnik „Orędownik” wydawany w Tłumaczu w latach 1929-1931,
- Dzienniki wychodzące w Stanisławowie, we Lwowie, tygodniki „Wschód”, „Ekspres Ilustrowany”,
- Roczniki gospodarcze, statystyczne, książki adresowe.

Korzystano z zasobów Biblioteki Narodowej, Uniwersyteckiej, Jagiellońskiej i innych. Korzystano również z napisanych wspomnień byłych mieszkańców Tłumacza i powiatu.

Brak możliwości skorzystania z zbiorów archiwalnych Ukrainy, zbiorów prasy Ossolineum pozostawionych we Lwowie, czyni to opracowanie kroniki niekompletne.

Pozostaje nadal aktualny apel autora do wszystkich byłych mieszkańców Tłumacza i okolic o nadsyłanie swoich uwag, wyjaśnień, relacji które mogłyby wzbogacić przedstawioną w odcinkach „Kronikę Tłumacza”.

## Kronika-kalendarium miasta i powiatu tłumackiego

MICHAŁ NIKOSIEWICZ

Polska „wybuchła” w listopadzie 1918 r., ale nie w Tłumaczu. Trzeba było jeszcze czekać do maja 1919 r., żeby po wieloletniej niewoli znaleźć się znowu w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Dopiero w roku 1921 na terenie Małopolski Wschodniej „nastał” pokój.

W 1921 r. starostą w Tłumaczu był Zygmunt Popiel, naczelnikiem sądu Zatwardowicz-Zalewski Eustachy, adwokaci: Jan Makuch, Maurycy Rozenkranz, Józef Salat. Notariuszem Aleksander Kokurewicz. Dyrektor gimnazjum Grzegorzewicz został przeniesiony do Lwowa (IX gimnazjum), wizytatorem gimnazjum został St. Pająk. Dyrektorem gimnazjum w Tłumaczu był Krzyżanowski, który przeniósł się do Żółkwi. Kierownik 6-klasowej szkoły podstawowej męskiej został Marceł Molisak.

Nastąpiła likwidacja Szkoły Kołodziejsko-Kowalskiej w Tłumaczu 17.03.1921 r. Sejm uchwalił Konstytucję: na pamiątkę społeczeństwo tłumackie wmurowało tablicę w ścianę budynku „Sokoła” po stronie lewej między oknami parteru (1927 r).

W Tłumaczu powstało miejscowe Koło Krajoznawcze im. Wincentego Pola jako sekcja P.T.K. we Lwowie.

Od 1-3 lipca odbyło się we Lwowie Zlot Harcerzy, w którym wzięła udział 1. męska drużyna harcerska im. ks. J. Poniatowskiego z Tłumacza.

Na terenie powiatu są „Gniazda” Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Tłumaczu, Tyśmienicy, Otyunii i Tarnawicy Polnej.

W 1921 r. odbył się powszechny spis ludności: w powiecie tłumackim 104 tys., mężczyzn — 49 tys., kobiet — 55 tys., rzym-kat. — 20 tys., gr-kat. — 76 tys., wyzn. mojżesz. — 6400, ewang. — 723, prawosł. — 25, menonitów — 10. Narod. polskiej — 27 tys., ruskiej — 72 tys., niem. — 951, żydowskiej — 4250. W Tłumaczu: 5788 mieszkańców, mężczyzn — 2788, kobiet — 3063, rzym-kat. — 1951, greko-kat. — 1841, mojżesz. — 2012, narodowość polska — 3391, ruska — 999 (?), żydowska — 1391.

Porównując podane liczby ze spisem z r. 1900 stwierdza się: ilość mieszkańców prawie ta sama (105 tys.), brak tysięcy osób to straty wojenne, brak garnizonu wojskowego, choroby („hiszpanka”). Kobiet było więcej o 600, a obecnie jest więcej o 5

tysięcy. Wzrosła ilość rz.kat. o 3 tys., gr.kat. zmalała o tysiąc, zmniejszyła się ilość Żydów o 2,4 tys., narodowość polska zwiększyła się o 45 tys., ruska zmniejszyła się o 8 tys. Po raz pierwszy podano narodowość żydowską: z 6396 wyzn. mojż.— narodowość żydowską podało 4254, a polską około 2 tysięcy. W 1900 r. w Spisie nie było rubryki narodowość żydowską. Żydzi podawali narod. polską albo niem.

Czekanowski podaje, że w ciągu ostatnich 40 lat podnosi się procentowo na tych terenach ludność polska obrz.łać., maleje ludność ruska obrz. gr.kat., jak również ilość Żydów. Żydzi i Rusini emigrują za granicę, Polacy-koloniści-„Mazurzy” osiedlają się w parcelowanych majątkach ziemskich.

„Spis ludności” wykazał, że w powiecie na 49 tys. mężczyzn umiało czytać 20 tys., kobiety — na 54 tys. — umiało czytać 17 tys. Ludność wiejska: na 91800 osób umiało czytać 30 tys. Wykształcenie wyższe w powiecie: 185 osób, w miastach 86 — głównie mężczyzn.

W 1922 r. powstała spółka akcyjna w Tyśmienicy „Fabryka białoskórnicza” i zatrudnia ponad 200 robotników, zamarte jarmarki odżywają na nowo, szewcy miejscowi dzięki dostawcom rządowym — otrzymują pracę, rośnie dobrobyt miasta dzięki dostawom rządowym — otrzymują pracę, rośnie dobrobyt miasta (300 kuśnierzy, 250 szewców).

W Tłumaczu zastępcą starosty jest Tadeusz Lewicki, komend.PP. komisarz Bolesław Czapelki.

Leopold Popiel, b. starosta w Tłumaczu jest naczelnikiem I wydz. w województwie stanisławowskim.

Adwokaci w Tłumaczu: Saul Jampoler, Benjamin Konigsberg, Bolesław Orski, Maurycy Rosenkranz, Józef Salat i Gustaw Trybalski.

Tłumacz zostaje przydzielony do rejonowej Komendy Uzupełnień w Buczaczu.

30.I.1922 r. zmarł, mianowany w zeszłym roku starostą przy wojew.stanisławowskim, były sekretarz Rady Pow. w Tłumaczu Wandalin Colonna Walewski, któremu między innymi społeczeństwo tłumackie zawdzięcza zbudowanie „Sokoła”.

21.IV.1922 r. w 67 r. życia nagle zmarł Leopold Popiel w Tłumaczu, honorowy obywatel Tłumacza i Otyunii. Pogrzeb w



Tłumaczu 23.IV.1922. Żona L. Popieła zmarła w Tłumaczu 21. XII. 1919.

15.V. do starostwa przydzielony Tadeusz Jan Skałka.

1.X.1922 r. po ustąpieniu dr. Gelehrtera lekarzem powiatowym został mianowany mjr. dr. Ignacy Pietrzycki.

Do gimnazjum w Tłumaczu przeniesieni: prof. Robert Halkiewicz, prof. dr. Samuel Eile, prof. J. Silberschlag. Odszedł do gimnazjum III w Stanisławowie prof. dr. M. Rosenbaum.

W 1922 r. w Tyśmienicy zorganizowano Ochotniczą Straż Pożarną i drużynę harcerską im. Tadeusza Kościuszki.

W urzędzie miejskim w Tłumaczu — komisarzem rządowym był Karol Sokołowski, sekretarzem powiatu Ludwik Wolański, Tadeusz Dulęba.

Budynek „Sokoła” zajmowało Starostwo na biura, tam była biblioteka TSL., Czytelnia im. Adama Mickiewicza, świetlica „Młodzieży Katolickiej”, „Harcówka” męskiej drużyny harcerskiej, a sala do ćwiczeń gimnastycznych była w soboty, niedziele i święta — salą kinową, służyła jako sala gimnastyczna uczniom gimnazjum, na niej ćwiczyli członkowie „Sokoła”, tam odbywały się odczyty, akademie, przedstawienia, zabawy, zebrania. W gmachu Sokoła były też mieszkania. W Tyśmienicy założono Oddział Związku Strzeleckiego, klub sportowy „Orleń”.  
1921/22 — Założenie Akademickiego Koła Tłumaczan. Pierwszym prezesem został Włodzimierz Klimkiewicz.

1924 r.

Naczelnikiem sądu zostaje Władysław Kłodnicki.

Budynek Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Tłumaczu, własność Towarzystwa Gospodarczego Wyszczolenia Kobiet we Lwowie, w którym przed wojną odbywały się kursy i szkolenia, a w czasie wojny był szpital wojskowy, jest do sprzedania i rozbiórki (położony na brzegu parku miejskiego). 11.VI. umiera w szpitalu w Stanisławowie prof. gimnazjum w Tłumaczu Poliszczuk, który dopiero od roku mieszkał w Tłumaczu. Delegacja Dyrekcji gimnazjum, orkiestra gimnazjum i klasa VI gimnazjum, której prof. Poliszczuk był tzw. gospodarzem wzięli udział w pogrzebie.

Od 13. XI. kontr. nauczycielem śpiewu w gimnazjum jest Urbański.

Sprawozdania Dyrekcji Gimnazjum Państwowego w Tłumaczu zawiera bardzo dużo materiału informacyjnego o działalności tego zakładu, i to za okres kilku ostatnich lat.

Walne Zebranie Katolickiego Związku Samopomocy na wniosek prezesa ks. proboszcza E. Tabaczkowskiego powołało do życia Seminarium Nauczycielskie Żeńskie. Kuratorium udzieliło koncesji, na I kurs zapisało się 28 uczennic. Kierownictwo przejął ks. J. Podczerwiński. Do grona pedagogów należeli nauczyciele szkoły podstawowej i gimnazjum. Dla zamiejscowych uczennic otwarto internat prowadzony przez SS.d.N.D.

W Tłumaczu powstało Tow. Nauczania Chrześcijańskiego, do którego należeli nauczyciele, obywatele miasta...

Inicjatorem założenia Seminarium był ks. E. Tabaczkowski, od 1910 proboszcz parafii łać. w Tłumaczu.

Bardzo oddany, czynny społecznie obywatel Tłumacza — to inspektor Kacper Mołczanowski. „Cieszył się szacunkiem i poważaniem w mieście. Należał do Stronnictwa Narodowego („endek”) jak prawie wszyscy Polacy w mieście. Brał czynny udział w pracy i życiu miasta. Był bardzo czynnym członkiem TSL. i innych organizacji zrzeszających Polaków w mieście. Został przeniesiony do woj. stanisławowskiego, a następnie do Lwowa (tam wkrótce zmarł). Dnia 8.XI.1924 zmarła w wieku 75 lat dyrektorka szkoły podstawowej żeńskiej Maria Kwiatkowska, po niej przez rok dyrektorką szkoły była Maria Glińska (zmarła w 1925), a od 1926 r. dyrektorką została Ludmiła Kozłowska —

po niej Olga Szmiganoska-Wiszniewska aż do IX.1939 r.

W „przewodniku gimnastycznym” — Sokół, w nr. 1/4, 1924 r. jest opisana ilustracja Gniazda „Sokoła” w Tłumaczu. Własny — duży budynek, sala gimnastyczna, członków 140, ćwiczących 63, gimnazjum korzysta z sali 16 godzin tyg., i uczniowie szkół podstawowych. Opału dostarczy gimnazjum. Przy budynku małe boisko/1200 mtr.

Koło Przyjaciół Harcerzy zorganizowało sekcję: festynu, dramatyczną, muzykalno-wokalną — dla zebrania funduszy na akcję letnią drużyn harcerskich (męskiej i żeńskiej).

W mieście w zimie brak opału. Urzęduje się w biurach nieopalanym.

W małym, cichym, spokojnym miasteczku jakim jest Tłumacz, gdzie prawie wszyscy się znają wydarzyły się w ciągu jednego roku (1924) wypadki notowane przeważnie w kronikach policyjnych wielkich miast: zajścia-procesy o przywłaszczenia, bankructwa, dzieciobójstwa, morderstwa rabunkowe, bójkę rodzinne, fałszerstwa pieniędzy (20, 50 gr.), handel żywym towarem Tabak — Schendla — Schneidarman) i napad młodych uliczników na uczniów gimnazjum wracających z boiska do bursy. Rannego ucznia opatrzył dr. Gelehrter.

Lekarz powiatowy dr. Ignacy Pietrzycki żywy, energiczny, bezkompromisowy natrafił w pracy (od 1922-1932 r.) na szereg trudności — dochodziło do pięć z ludnością, z administracją na tle kontroli stanu higieny sklepów i restauracji w mieście i wreszcie z władzami sanitarnymi województwa (sprawa tyfusu we wsi Gruszka)... Dr. Pietrzycki był lekarzem szkolnym w gimnazjum, prowadził wykłady z higieny osobistej, działał w PCK, prowadził Poradnię p-gruźliczą, był prezesem Koła Przyjaciół Harcerstwa. Po wojnie był doc. i kierownikiem Katedry Stomatologii Zachowawczej Akademii Medycznej we Wrocławiu.

c.d.n.

## U w a g a!

### Wspólne wczasy!

Zawiadamiamy Tłumaczan, że w tym roku są możliwości spotkania się w dwóch miejscach:

1) w Kołobrzegu w Ośrodku Wczasowym przy ul. Arciszewskiego w tradycyjnym już terminie od 1 do 14 czerwca br.

Cena jednego miejsca w domku będzie wynosić

	około 7,00
☞ w barakowozie	" " 5,00
☞ śniadanie	" " 3,00
☞ obiad	" " 5,50

2) W Krynicy (górskiej) dom sanatoryjny „Leśna Polana” przy ul. Świdzimskiego 50.

Zniżka dla grupy 20-30 osób Kresowiaków.

Doba w 2, 3 i 4 osobowych pokojach z całodziennym wyżywieniem i zabiegami będzie kosztować 18,50.

Miejsca można rezerwować na dowolną liczbę dni już od 3 do 25 czerwca b.r. Prosimy o pisemne zgłoszenie na adres siedziby Klubu „Tłumacz” do 30 kwietnia.

# Wiadomości z życia Tłumaczan

## Nasz opłatek

Wzorem lat ubiegłych spotkaliśmy się w dniu 20 stycznia 1966 roku we Wrocławiu na tradycyjnie organizowanym przez Klub Tłumaczan opłatku. Oprócz mieszkańców Wrocławia i okolicy przybyli nasi krajanie: z Warszawy, Łodzi, Poznania, Gdańska, Górnego Śląska i Zielonogórskiego. Było nas w sumie 36 osób starszych i 6 wnuków.

Opłatek tegoroczny uświetnił również swoją obecnością były mieszkaniec Tłumacza ks. Leszek Duplewicz Salwatorianin. Po miłym powitaniu przybyłych przez Prezesa Klubu Zygmunta Burczyńskiego, po odczytaniu przez niego licznie nadesłanych listów i kartek z życzeniami noworocznymi od Tłumaczan, którzy nie mogli przybyć na nasze spotkanie, głos zabrał ks. Leszek Duplewicz, który powiedział:

*Szanowni i Drodzy Państwo. Moi Rodacy!*

*Zgromadziłem się, jak w latach ubiegłych, by podzielić się opłatkiem i złożyć sobie życzenia. Nim jednak to zrobimy godzi się, byśmy podziękowali Bogu za to, że doczekaliśmy tego dnia, że dożyliśmy, że cali i jako tako zdrowi mogliśmy się znowu spotkać. Trzeba też abyśmy wspomnieli tych Tłumaczan, którzy już od nas odeszli, zwłaszcza w ostatnich latach. Tak zdaje się jeszcze nie dawno byli z nami, jeszcze dźwięczy nam w uszach ich głos, jeszcze czujemy ciepło ich rąk, a oto odeszli z tej ziemi na zawsze. Dzisiaj ich wspominamy i polecamy Bogu. Duchowo łączymy się ze wszystkimi naszymi rodakami — Tłumaczanami, gdziekolwiek są w Polsce, czy poza jej granicami. A Państwu tu zgromadzonym życzę czerstwego zdrowia, pomyślności w życiu osobistym i rodzinnym, życzę byśmy w przyszłym roku mogli spotkać się na podobnej uroczystości opłatkowej. Życzę optymizmu i pogody ducha. Nigdy nie dajmy się złamać trudnościom,*

*nie tracimy nadziei i uśmiechajmy się choćby poprzez łzy. Wszystkim razem Państwu zrzyszonym w Klubie Tłumaczan życzę realizacji planów odnośnie wydawnictw poświęconych naszemu miastu, jego ludziom i pamiętkom. Życzę jedności! Chrystus modlił się kiedyś w wieczerniku: „Ojczy spraw, aby wszyscy byli jedno, jako Ja w Tobie, a Ty we Mnie jedno jesteście”. Jaka to ważna rzecz, byśmy w dzisiejszym, skłóconym świecie i w rozbitej skłóconej naszej polskiej rzeczywistości umieli zachować jedność. Wzniesmy się ponad podziały polityczne, religijne, światopoglądowe i wszelkie inne i szukajmy nie tego co dzieli, ale tego co łączy. Bądźmy jednością silni!*

*Moim Rodakom szczęść Boże!*

Następnie ks. Leszek zaintonował kolędę „Wśród nocnej ciszy”, a później płynęła kolęda za kolędą, które rozpoczynała swoim łagodnym głosem Marysia Lanerówna-Adamczyk.

Na stole oprócz tradycyjnego opłatka pojawiły się różnorodne kanapki zrobione przez: Ziętę Weberbauer, Romę Króliczek i niżej podpisaną oraz przepyszne wypieki naszych Tłumaczanek. Nie zabrakło też kuti przywiezionej aż z Marszowa przez żonę naszego Prezesa — Irenę Burczyńską. Nad całością imprezy czuwał niezastąpiony organizator Jurek Czyżycki.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że na spotkania nasze przychodzą tłumaczanie ze swoimi dziećmi i wnukami. Tak było i tym razem. Dla starszych, którzy doświadczyli po wojnie losu tułaczy, spotkania takie przypominają utraconą ojczyznę. Dla młodszych, którzy się już tutaj urodzili, są spoiwem upływającego czasu, gdyż łączą oni teraźniejszość z przeszłością z „korzeniami”, z których wyrastamy, a o których nie wolno nam zapomnieć. Obymy mogli spotykać się tak co roku i dzieląc się opłatkiem wspominać naszą młodość przeżytą w tym małym, drogiem naszemu sercu miasteczku jakim był Tłumacz.

*Helena Bilińska*

## Od Redakcji

Serdecznie dziękujemy za miłe, entuzjastyczne listy nadchodzące od Koleżanek i Kolegów. Z ich treści wynika, że pierwszy numer naszych „Zeszytów Tłumackich” podobał się wszystkim i spełnił oczekiwania Tłumaczan.

Jesteśmy również wdzięczni za uwagi krytyczne, np. ks. L. Jeżowskiego — postaramy się zastosować.

W Nr 1 i 2 „Z.T.” większość publikowanych wspomnień jest od nieżyjących już mieszkańców Tłumacza. Zachowały się one w zbiorach dr. M. Nikosiewiczza. Dzięki jego wieloletniej pracy dla Tłumacza, mamy materiały do publikacji w naszym piśmie jeszcze na okres paru lat.

Apelujemy jednak do Tłumaczan o przysyłanie swoich wspomnień, bo żywe słowo od naocznego świadka jest zawsze cenniejsze i bardziej przemawiające do czytelnika, od opracowań historycznych. Oczekujemy dalszych listów z ocenami „Z.T.”.

## Podziękowania

Zarząd klubu Tłumaczan składa Zespołowi Redakcyjnemu serdeczne podziękowania za przygotowanie i wydanie pierwszego numeru Zeszytów Tłumackich.

Jesteśmy przekonani, że Zespół równie sprawnie upora się z następnymi, ku pokrzepieniu serc.

Prezes  
Zygmunt Burczyński

## Sprostowania

Pragniemy przeprosić za sporą ilość błędów, które wkrały się do pierwszego numeru ZT. Brak nam jeszcze praktyki, ale obiecujemy poprawę. Sprostowania wymagają błędnie napisane nazwiska:

— na stronie 14 ma być Blond, a nie Bland, Schreier, a nie Schreider,

— na stronie 21 w art. ks. Lesława Jeżowskiego (a nie Leszka), opuszczono słowo w Wielką Sobotę,

— na stronie 22 ma być ks. kan., a nie ks.kar., naturalnie homilii, a nie homolii. Brak miejsca na wyszczególnienie wszystkich błędów. Wstydzimy się za błędy ortograficzne, które powstały nie z winy autorów. Przepraszamy.

Redakcja

# † O d e s z l i

W 56 rocznicę zagłady naszych Ojców z Tłumacza:

Kozielsk — Katyń

Dębicc Michał, kier. szkoły

Ostaszków — Miednoje

Matejko Andrzej, Kom. P.P.

Urbanak Józef St. post. P.P.

Sobczak Jan St. post. P.P.

Hirschmüller Edward St. post. P.P.

Barteczko ... post. P.P.

Lista Katyńska — Straceni na Ukrainie

Burczyński Leon — właściciel sklepu

Jeżowski Jan — Starosta

Panachida Jakub — St. Post. P.P.

Rizler Stanisław

Śmiechowski Józef — Post. P.P.

Wiatr Stanisław — St. post. P.P.

Wilner Ludwik — St. post. P.P.

Wolański Władysław — Urz. Skarb.

Zajdler Józef — Burmistrz.

Nota bibliograficzna:

Jędrzej Tuchalski „Mord w Katyniu” Inst. Wyd. PAX Warszawa 1991

Marek Tarczyński „Listy katyńskie ciąg dalszy — straceni na Ukrainie” Warszawa 1994.

Anna Panachida-Bocheńska

## *Mogiły naszych zesłańców*

W dalekich tajgach Sybiru

Modlitwę szepcze wiatr...

A na Zesłańca mogiłę

Śnieg biały cicho siadł.

Czas przeszły polskiej Golgoty

zasypał hańby znak,

A w szeleszczącej tundrze

zakwilił północny ptak.

Po smutnych miejscach cierpienia,

rozpełzły się siwe mchy.

Ponad zapadłą mogiłą,

burzanu baldachim drży.

Polaków rozsiane mogiły,

do nieba wznoszą ramiona.

Nad nimi ulata krzyk,

i gdzieś w przestrzeni kona...

### IMPRESJE KATYŃSKIE

(Ojcu)

Jaka myśl  
gdy klęczałaś  
przezyla Ci czaszkę

Jaki obraz  
przed oczy  
gdy chłód luży  
w tył głowy

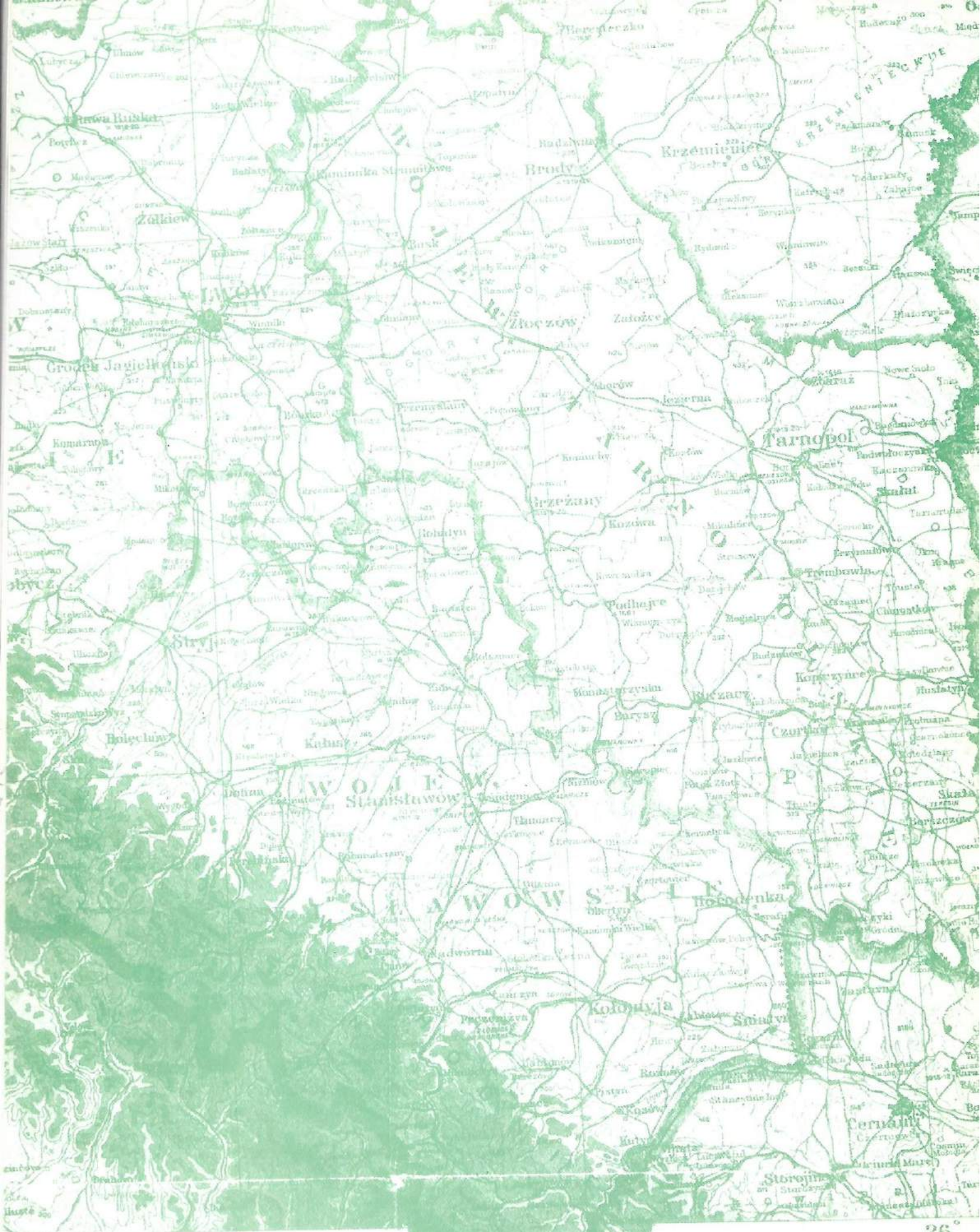
A uczucia:  
gniew  
bezsilność  
żał  
rozpacz  
w jednym błysku sekundy

Nie ma świadków?  
A niebo  
przenikliwe i groźne  
Drzewa długo szumiały  
by wykrzyć tę zbrodnię

Słońce raną zachodzi  
ku pamięci P O T O M N Y C H

Alicja Patey-Grabowska





OBJAŚNIENIA

toriska  
ort morski

Stolica  
Miasto wojewódzkie



Mi